

Aleksander Żyga

Wincenty Pol, a Dubiecko



Może kiedyś tu jeszcze wiesz jakis zawita
I wnuków o kolebkę zapyta;
I odnowi te dzieje wieku dzisiejszego,
I mnie tu wspomni — jak ja Karpińskiego,
(W. Pol: „W Dubiecku”)

Dubiecko zwykliśmy łączyć z urodzonym tu Ignacym Krasickim, sławnym poetą polskim XVIII wieku i biskupem warmińskim, którego poezja rozświetlała tę małą miejscinę nad Sanem w całej Polsce. Na tle pięknego pejzażu okolic Dubiecka osnuł swój żartobliwy utwór wierszowany pt. „Podróż z Dubiecka na Skagę...” F. Karpiński. Mniej znane są kontakty W. Pola z rezydencją Krasickich oraz jej mieszkańców, który zastyszane od nich tradycje domowe zużytkował w poemacie-gawędzie „Senatorska zgoda”.

„Gdy nieraz wieczorem przejeżdżałem przez Dubiecko, zdawało mi się, że poza cienistymi drzewami starego ogrodu widzę ową scenę z poematu Pola, w której sanocka i przemyska szlachta ucztuje pod rozłożystą lipą, a ksiądz biskup warmiński tak zrecznie przeprowadza senatorską zgodę” — pisał przed stu prawie laty w swoim eseju o ludziach tych okolic Kazimierz Chłędowski. Poemat W. Pola o Dubiecku i księdzu biskupie powstał dopiero w latach sześćdziesiątych XIX wieku i dotyczy czasów, kiedy te strony rodzinne odwiedzał książę poetów stanisławowskich. Kontakty poety z Krasickim i w Dubiecku były jednak o wiele wcześniejsze i datują się chyba od roku 1832, kiedy przyszedł autor „Senatorskiej zgody” odwiedzając włości Krasickich: Bachórz, Nienadowę, po raz pierwszy zawitał do Dubiecka. Świadectwem jego przyjaźni, zadzierzgniętej wówczas z Krasickim, jest wiersz do W. Pola „Na pamiątkę lat od 1832 do 1836”, pióra Aleksandra Krasickiego, syna Macieja i wnuka Antoniego, brata księdza biskupa, drukowany w roku 1844 na łamach lwowskich „Rozmaitości”. Odnosi się on do pierwszych spotkań Pola z dziedzicem Dubiecka:

Czy pamiętasz, piewco miły,
Wspólnej wiosny chwile,
Kiedy piersi te żywiły,
Lubych marzeń tyle?

Gdy przyjaźni twej zadatek
Przyjął z rozrzewnieniem,
Gdy nas nowy węgił kwiatek
Pod topoli cieniem?
Czy pamiętasz, piewco miły,
Sanu bieg uroczy,
Gdy gdzieś za nim twe gonili
Zadumane oczy?
Jak swojego cię witaly
Te ciche ustronia
I Czarnego Wiru Skagę,
I Dubieckie Błonia?

Gdy A. Krasicki w wierszowanej formie odtwarzał echa młodzieńczych wspomnień z W. Polem, tenże był już sławnym poetą: miał poza sobą „Pieśni Janusza” oraz „Pieśń o ziemi naszej”; okres pobytu w Kalenicy Ksawerego Krasickiego w Sanockiem i mieszkał w Mariampolu koło Zagórzan. Aczkolwiek biografia jego nie zaświadcza tego, bywał on w powyższych latach częstym gościem w Dubiecku, tym bardziej że wiele podróżował, jako geograf. Z entuzjazmem zbierał domowe tradycje szlacheckie, a między innymi także i do dawnego życia Krasickich w Dubiecku, skoro posyłał Teofilę Stadnickiej, żonie Macieja Krasickiego do Dubiecka „Mohorta”, nie zawahał się umieścić następującej dedykacji:

Co od was wyszło, niech do domu wraca,
Jak owoc wdzięczny, pocziwa praca;
Jeślić lza padnie przy wspomnieniach znanych
I na ten widok postaci kochanych,
To jej nie otrzyj, bo takimi łzami,
Nikt nie zapłaci ni po nas, ni z nimi...

Dzięki przyjaźni Pola z Aleksandrem Krasickim zostało opublikowane w „Bibliotece Zakładu Naukowego Ossolińskich” 7 listów księdza biskupa ze skrzętnie przechowywanych i gromadzonych w archiwum dubieckich pamiątek o sławnym przodku poecie.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Wspomnienie o Konstantym Paustowskim

Było to pochmurnego popołudnia sierpniowego w Krakowie 1961 r. Zadzwoił przyjaciel. „Jeśli chcesz zobaczyć Konstantego Paustowskiego, to przyjdź zaraz do Klubu Dziennikarzy „Pod Gruszką”. Elektryzująca wiadomość. W Krakowie jest twórca „Dalekich lat”.

Zobaczyłem starszego człowieka, niskiego wzrostu w jasno popielatych spodniach, nieco ciemniejszej marynarce, pochylonego trochę. Zwróciła moją uwagę kształtna głowa, o pięknie sklepionym wysokim czole i czarnych, mocno posiwiałych włosach, zaczesanych gładko do góry. Zza okularów patrzyły zmrużone, mądre i pogodne oczy. Konstanty Paustowski witał się z nami serdecznie. W jego zachowaniu i obejściu było coś tak prostego i niewymuszonego, że zapomniało się o różnicy wieku, o randze i sławie wielkiego pisarza. Pomimo zmęczenia i widocznego schorowania (oddychał szybko — dokuczała mu astma) z jego twarzy o ostrych, regularnych rysach nie schodził uśmiech, który zdawał się mówić: „cieszę się, że jestem w Waszym pięknym mieście, cieszę się, że Was widzę i jestem z Wami”.

Zasiedliśmy do stołu. Było nas sporo: literatów, aktorów,

dziennikarzy. Paustowski poprowadził wzrokiem po zebranych i na przywitanie powiedział: „Przyjściecie drodzy! Myślę, że Wawel wzniesił ludzi dobrej woli”. Nie zapomnę nigdy tych słów. Mówił swym cichym, z lekką ochrypłym i przerywanym głosem o pokrewieństwie z Polską, o wielkim wrażeniu jakie nasza ojczyzna zrobiła na nim, gdy jako dziecko zjawił się nad Wisłą, i o swojej babce, która była Polką. Przy słowach: „Bo w moich żyłach płynie też i polska krew”, pisarz pochylił nisko głowę. Rozmowa z czasem stawała się ogólniejsza. Paustowski odpowiadał na pytania. Mówił dużo o Odessie, o Babilonie i o Bagrickim. Podzielił się też wtedy z nami sensacyjną nowiną. Autor „Kolchidy” był świetnym znawcą życia i twórczości Michała Lermontowa. Film o życiu wielkiego poety rosyjskiego jest jednym z czołowych filmów radzieckich, często wznawianym, głównie dzięki poetyckiemu scenariuszowi, którego autorem był Konstanty Paustowski. Otóż jeden z współczesnych pisarzy radzieckich, będąc we Włoszech odnalazł w jednym z prywatnych archiwów rzymskich relację na temat tragicznego pojedynku Lermontowa z majorem Martynowem na Górze Maszuc. Z relacji tych wynika, że major Martynow, który po śmierci Lermontowa wycofał się ze służby wojskowej, i do końca swojego życia nigdy nie opuścił rodzowego majątku, strzelał w górę. Strzał, który zabił poetę padł gdzieś z boku. Potem zaczął mówić o Kijowie i o swoich latach szkolnych „W naszym gimnazjum język polski był przedmiotem nadobowiązkowym. Mimo to lekcje języka polskiego cieszyły się zawsze wśród Rosjan i Ukraińców dużą frekwencją. Magnusem tym była nie tylko możliwość usłyszenia w oryginale utworów Mickiewicza, ale przede wszystkim obecność uczennicy panny Grabowskiej”.

Ten miły hołd uczyniony przez pisarza urodzie i wdziękowi Polek uczciliśmy oklaskami. Potem pisarz opowiadał o Lubelszczyźnie, gdzie przebywał za czasów pierwszej wojny światowej jako sanitariusz armii rosyjskiej. To spotkanie, urokliwe spotkanie, jakże odbiegało od szumnych, hałaśliwych i pustych nierzadko spotkań tego rodzaju.

Słuchając mądrych i serdecznych słów wielkiego pisarza, którego skromność i prostota onieśmielała nas i cieszyła zarazem, czuliśmy się wtedy, dzięki niemu, tego sierpniowego popołudnia 1961 roku w klubie „Pod Gruszką” doskonalsi i lepsi. Gdy spot-

(Ciąg dalszy na str. 3)

Przed tygodniem wyraziłem pozytywną opinię o imprezach zorganizowanych w Lesku przez rzeszowski Wojewódzki Dom Kultury w ramach ogólnopolskiego seminarium, poświęconego problemowi wypoczynku po pracy. To były wzorce, propozycje. Wzbudziły zainteresowanie i niezwykle pozytywnie ocenione zostały przez uczestników seminarium „Turkus”.

— Koledzy z Rzeszowa pokazali wiele ciekawych form — mówiła na zakończenie leskiego spotkania przedstawicielka Ministerstwa Kultury i Sztuki Ewa Starczewska. — Ich pomysły imprezy bardzo się podobały, zwłaszcza nowatorska impreza „światło-dźwięk”. Bardzo interesujący był turniej wsi Uherce-Olszanica. Nawet w czwartej godzinie imprezy można było zobaczyć niezwykle żywą reakcję publiczności.

Trzydniowa dyskusja uczestników seminarium nie dotyczyła jednak wyłącznie zorganizowanych imprez. Spotkanie przedstawicieli resortu kultury oraz kultury fizycznej i turystyki stało się okazją do wyrażenia opinii i poglądów członków zespołów artystycznych.

Dobrym tego porozumienia przykładem niech także będą organizowane od kilku lat wojewódzkie zloty Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej. W czasie tych imprez członkowie TKKF i wielu ognisk rywalizują ze sobą na skoczni, bieżni, rzutni, boisku siatkówki, kometki i... na estradzie. Ci, którzy w ciągu dnia mogli się wykazać dobrą sprawnością fizyczną — wieczorem w czasie zlotowego ogniska — wychodzili na estradę, by śpiewać, tańczyć, recytować...

Przykładów podobnych można wymienić wiele. Nie o to chodzi. Istota problemu — moim zdaniem — tkwi w tym, że ta usankcjonowana oficjalnymi dokumentami międzyresortowa współpraca nie może nabrać rozmachu. Staramy się szukać pozytywnych przykładów i często tym się zaspokajamy.

Cieszyć np. może inicjatywa i pomysłowość Wydziału Kultury Prez. PRN i PKKFIT w Gorlicach. Podpisano tam oficjalny dokument, który ściśle określa normy „współpracy” kultury i sportu. M. in. gorlickie kluby sportowe mają zadbać o wyposażenie świetlic, w których przynajmniej raz na miesiąc zorganizowany będzie ciekawy odczyt, czy spotkanie. Przewiduje się też wprowadzenie gimnastyki artystycznej do programu sportowej działalności.

Przedstawicielka Lubaczowa p. Zofia Szabatowska wskazała na dalsze efekty, jakie daje czwóroporozumienie pomiędzy Lubaczowem, Jarosławiem, Bilgorajem i Tomaszowem Lubelskim a więc sąsiadujących ze sobą powiatów, w zakresie organizowania wspólnych imprez sportowych i artystycznych.

Zgoda! Jest się już czym pochwalić. Ale powtarzam, wciąż jeszcze eksperymentujemy zbyt nieśmiało. W wielu miejscowościach nadal jedni czekają na drugich, a ci drudzy na pierwszych. Kto ma do kogo przyjść? Czy ci od kultury, czy ci od sportu i turystyki? Efekt? Zastój! Wyczekiwanie! Na co?

Miał rację zastępca kierownika Wydziału Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie mgr Józef Kanik, który w podsumowaniu trzydniowej dyskusji — powiedział:

— Problem, jaki podjęliśmy jest bardzo różny, ale i niełatwy do rozwiązania. Ważny, bo przecież zbliża się okres, kiedy zostanie u nas wprowadzony pięciodniowy tydzień pracy. Stanie my więc przed rozwiązaniem zadania: co i jak zaproponować ludziom? Tym wyjeżdżającym na wczasy lub wycieczki i tym pozostającym w domu, w miejscu swego zamieszkania.

Oto zadanie, jakie postawiono przed działającą kulturą,

Julian Woźniak

OTWARTE DRZWI...?

sportu i turystyki, przed organizacją społecznymi, młodzieżowymi, przed związkami zawodowymi. I bardzo dobrze, że się o tych zadaniach mówi, dyskutuje, że się wypracowuje nowe wzorce wypoczynku po pracy, wynikające z łączenia elementów kultury, sportu i turystyki.

Jednocześnie zastanawia mnie dlaczego tak beztrąsko porzucą się już wypracowane formy?

Niech mi ktoś odpowie, gdzie ma wypoczywać po pracy wielotysięczna rzesza mieszkańców Rzeszowa? Gdzie w piękną, słoneczną niedzielę mają regenerować swe siły przed trudem następnego tygodnia? Oczywiście wyłączam posiadaczy czterech kółek i tych, którym szczęście dopisze i na niedzielą wycieczkę wyjadą zakładowym autobusem. Choć — prawdę powiedziawszy — znając formy organizowania tego rodzaju wypraw, cóż to znowu za wypoczynek?

Chodzi jednak o ogół. Zapraszam w upalną niedzielę w rzeszowskie Olszyny. Tłok niczym na peronie dworca kolejowego

w dniach wyjazdów na wczasy i kolonie. A więc gdzie?

Od dobrych kilku lat wciąż się u nas mówi o potrzebie zorganizowania jakiegoś odpowiedniego miejsca niedzielnego wypoczynku dla kilku co najmniej tysięcy mieszkańców wojewódzkiego miasta. Mówi się o Kamionce, o głogowskim lesie... I tylko się mówi!

A przecież! Odwiedziłem ostatnio Myślenice, miasto powiatowe na trasie Kraków — Zakopane. Właśnie tu, nad Rabą, organizowane są reklamowane głośno tak zwane „Niedziele na Zarabiu”. Impreza, która co niedzielę ściąga do Myślenic istne tłumy mieszkańców Krakowa (zauważyłem też wiele autokarów z rejestracją śląską — przyp. j.w.). W każdy wolny dzień od pracy organizowane są tutaj masowe imprezy rozrywkowe, których program koordynuje Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych w Krakowie. Organizatorem imprez jest Zarząd Wojewódzki ZMS.

Każdy, kto w wolny od pracy dzień przybędzie do Myślenic,

nad Rabę, znajduje odpowiednie warunki do aktywnego wypoczynku w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, a zarazem właściwy relaks w czasie popołudniowych i wieczornych imprez. Tutaj należy dodać, iż gospodarze terenu dbają o to, by każdy mógł nad Rabą wygodnie dojechać oraz nie narzekać na zaopatrzenie. Osobiście miałem okazję o tym się przekonać. Specjalne autobusy, dobrze (!) zaopatrzone kioski z napojami chłodzącymi i owocami, wreszcie interesujący program występujących zespołów artystycznych — oto coś co może zapewnić dobrego wypoczynek i zachęcić do odwiedzenia Myślenic.

Nie odkrywam zresztą tutaj przysłowiowej Ameryki. Przecież przed bodajże dwunastoma laty podobne „niedziele” organizowane były w Czudcu. Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych postarała się, by w tej podrzeszowskiej miejscowości, na brzegu Wisłoka, zbudować odpowiednią estradę i kilka boisk do siatkówki. Zadbano o zaopatrzenie ustawionych tutaj kiosków. Postarała się, by co

niedzielę koncertowały tutaj związkowe zespoły artystyczne i... ludziska tłumnie do Czudca przyjeżdżali. W pobliskim lesie i nad brzegiem rzeki miejsca dla wszystkich starczyło. A i z dojazdem kłopotów żadnych nie było. Z Rzeszowa do Czudca kursowały specjalne zielone pociągi!

Jakież to względy nie pozwalają organizować podobnych imprez obecnie? Przecież wystarczy, by każdy zarząd okręgowy związku zawodowego w jedną tylko niedzielę sezonu letniego (związków branżowych mamy przecież kilkanaście) zapewnił w Czudcu (oczywiście może to być inna miejscowość) przegląd dorobku swych zespołów artystycznych i... kłopot z głowy. Dlaczego więc nie znajdzie się organizator takiej masowej imprezy, która zwłaszcza dla mieszkańców wojewódzkiego miasta, bardzo by się przydała?

Takie oto refleksje cisnęły mi się pod pióro, gdy przysłuchiwałem się uczonym wywodom na temat właściwej organizacji wypoczynku po pracy w czasie leskiego seminarium „Turkus”. Czy aby — oczywiście obok twórczych inicjatyw i pożytecznych nowości — nie było to trochę wyważanie otwartych drzwi?

Wincenty Pol a Dubiecko

(Ciąg dalszy ze str. 1)

W roku 1850 w lwowskim „Dzwonku” ukazał się krótki utwór W. Pola pt. „W Dubiecku”. W wyobraźni poety przesuwają się tu najważniejsze postacie związane z Dubieckiem:

*Ilekrót tutaj z wami w Dubiecku przebywam,
Wśród zabawy samotne chwile nawet niewam,
I myśl się wówczas rzuca w odbite czasy,
Gdzie gęstą jeszcze jodłą szumiąły te lasy;
Gdzie ta wasza dziedzina była mniej budowaną,
Lecz wodami i murem, i wałem warowną,
Tam widzę — jakom żyli w prostym obyczaju,
W tym dworze staropolskim po rozbiórce kraju...*

Nad urwiskiem Sanu przy kamiennym stole uczują przyjmowani przez Krasickiego gości, odbywają się zabawy i tańce. W korowodzie przypominanych przez poetę postaci, które w ciągu wieków mieszkały lub odwiedzały Dubiecko, znajduje się m. in. biskup warmiński i F. Karpiński:

*Bije złoto z utworów, uśmiech z ust dziewczęcia,
Płynię wino z kielichów, a dowcip z ust księcia,
Szumi bracia sanocka: „Hej zdrowie!” — „A czyje?”
Grzmia na wiwat potrójnie moździerze zamkowe,
A echo Czarnowirską zakłóca dąbrowę.
Tylko San z głuchym szumem huczy
I nieba gwiazdzistego kobierce pomija.
A tam na północ zamku, gdzie lipa sędziwa
Z cichym wieszczem Pokucia myśl moja przybywa;
I zda mi się, że słyszę jego rymy śpiewne
I płacze do Justyny i modlitwy rzewne.
I nagle szumem Sanu śpiew jego przzerwany,
A pomiędzy tym szumem słyszę na przemiany
Tę lirę warmińskiego bajora swobodną,
I od morza do morza brzmiała pieśnią godną.*

Cytowany tu utwór Pola stanowi pendent do wspomnianego już wyżej wierszowanej gawędy „Senatorska zgoda”, osnutej na tradycjach domowych Krasickich i księdzu biskupie warmińskim, przyjmowanym tu owacyjnie podczas odwiedzin w r. 1768. Zastosowana tu przez W. Pola konwencja wierszowanej gawędy nieźle przystaje do apologetycznego jej tonu wobec rodu Krasickich. Odtworzył tu wprawdzie fakty, jakie rozegrały się o wiele wcześniej, rzucił je jednak na tło współczesnego mu wyglądu i topografii rezydencji Krasickich:

*Po trzech stronach dziedzińca ciągnęły się mury,
Z czwartej ku południowi opadał brzeg z góry.
A u stóp urwiska San się wzięm zwinął
I w tę stronę po Błoniach uszak daleko płynął,
Aż się trącił o góry i lasy bukowe,
O Sanowe wybrzeża i debry świerkowe.*

Odświeżnie wyglądało też Dubiecko na przyjęcie dostojnego gościa:

*Niby pokój miasteczko było umiecione,
Wszystkie domy jak i plotki czysto wybielone,
A podsienia, i izby kobiercem zastane,
A pogoda prześliczna! a panie cacane!
W każdym domu możniejszym stał stół i kapela,
I przyjęcie od serca, i kupka wesela.*

Nad miasteczkiem górowała widna z daleka rozłożysta lipa, nazywana Wsienią, której funkcję w życiu Krasickiego porównuje Pol z liryką lipy czarnoleskiej:

*Gdyś wjechał na dziedzińiec, toś pod lipy cieniem,
Ujrzał się od razu jakby pod sklepieniem;
A ta jedyna lipa za cały las stała,
A połowę dziedzińca prawie ocieniała;
A że wyżej nad drzewa w okolicy wrosła,
I poważnie ku niebu swe czoło wyniosła,
Panując i nad zamkiem i całą przestrzenią,
Stąd w całej okolicy nazwano ją Ksienią.
Kto Krasickich Dubiecko, ten znał już i Ksienię,
I w dziedzińcu zamkowym zielone podsienia,
Gdzie całym pokoleniom wiek swobodnie spływa
I pod którym przez lato cały dom siadywał
(...)*

*Tu słowik sponad Sanu przemawiał do duszy,
I tu obiady letnie, śniadania wiosenne.
Tu powitania gościa i tutaj strzemienne.
A gdy gospodarz zaklął: „Czy nie styd Ci Ksieni?”
Toć z konia zsiąść musiał i wejść znów do sieni.
Ksieni była i domem, i niby osobą,
I dla wszystkich przytulkiem, wszystkim ozdobą.*

Według tradycji przekazanej Polowi, pokrywającej się zresztą z faktami

*I Franciszek Karpiński, co tu także bywał,
I pod cieniem tej Ksieni o Senorze śpiewał.*

Dodaje Pol w komentarzu, że w czasie pisania „Mohorta” legendarnej Ksieni już nie było. Potwierdza to nawiązujący do „Senatorskiej zgody” wiersz A. Krasickiego pt. „Zgon Ksieni”, dla tych, którzy czytali „Senatorską zgodę”, stanowiący odpowiedź pewnemu przyjacielowi na zapytanie o Ksieni:

*Pytałeś mi się nieraz, czy poważna Ksieni
W naszej miejskiej ustroni dotąd się zieleni,
Czy się Bieszczadu powiew w jej galezi wkrada?
Czy się w niej gnieźdzą jeszcze wiewióreczek stada?
A bujnym rojom pszczoły stojąca otworem,
Czyli się modli Ksieni rankiem i wieczorem:
Czy podworec swym liściem zacięła w jesieni?
— Nie, odpowiem ze smutkiem, nie, już nie ma Ksieni...
Straciłszy dawnego swego przyjaciela...
Już zabawom dziecięcym chłodu nie udziela,
Swą wonią dawną obszar pojąca daleki,
Poważnym nawom ojców już nie da opieki...
Jej pień olbrzymi niegdyś runął wielkoludem!
A zgon jej dworscy ludzie dotąd mienia cudem.*

Dziwnym zbiegiem okoliczności ów „zgon” Ksieni, jakby symbolicznie zbiegł się z upadkiem Polski.

Kontaktów W. Pola z Dubieckiem i jego mieszkańcami nie przerwała nawet śmierć poety. Zasoby dubieckiego archiwum skłoniły A. Krasickiego do umieszczenia w roku 1873 w „Czasie”, w którym przed rokiem drukowany był fragment „Starosty Kislackiego” z błędnie wymienionym nazwiskiem „Kislarski” — sprostowania, w którym znakomity heraldyk dubiecki twierdził, „że nie było (...) nigdzie starostwa Kislarskiego, ale istniało za czasów Rzezypospolitej starostwo tak nazwane od wsi Kislak w województwie i powiecie braclawskim. Zdaniem autora sprostowania „dokładność nawet i z opowiadania z domowego życia może być zachowaną bez zrobienia uszczerbku polskiej poezji”.

Zdzisław Kozioł

BIESZCZADY Z BLISKA

Czytam podane mi wycinki prasowe z gazet o dużym nakładzie i rozumiem dlaczego mój rozmówca, Zdzisław Tarnawski — I sekretarz KP PZPR w Ustrzykach, jest aż tak poirytowany na autorów, którzy dezinformują swoich czytelników, publikując żenująco naiwne artykuły, niejednokrotnie na domiar złego pełne błędów, niesprawdzonych wiadomości itp. Gwoli ścisłości winię tu trzeba także przedstawicieli miejscowych władz, którzy sami nie zawsze wiedzą, co jest dla Bieszczadów istotne, nie dostrzegając specyfiki regionu, a udzielając wywiadów plotą trzy po trzy...

Bieszczadami należy zainteresować czołową prasę polską, a jest to konieczne chociażby z uwagi na duże szanse turystycznego wykorzystania gór. Potentaci turystyczni, Węgrzy i Bułgarzy, w swoich renomowanych ośrodkach pobudowali międzynarodowe domy dziennikarza, do których zjeżdżają na wypoczynek ludzie prasy z wielu krajów. O ile mi wiadomo, utrzymywanie tych domów jest kosztowne, w sensie buchalteryjnym deficytowe, ale tym sposobem gospodarze zapewniają sobie tanią i skuteczną reklamę, bo zazwyczaj dziennikarze publikują później wrażenia z pobytu nad Bałatonem czy Morzem Czarnym. Wspominam o tym dlatego, że i Bieszczady staną się kiedyś, miejmy nadzieję, mekką turystyki zagranicznej, bo tu w przyszłości będą się krzyżować międzynarodowe szlaki biegnące z północy na południe i z zachodu na wschód. Nie wiem, czy realny byłby postulat zbudowania międzynarodowego domu dziennikarza, powiedzmy nad zalewem solińskim, ale na pewno można już pomyśleć o różnorodnych imprezach dla dziennikarzy krajowych i zagranicznych.

Odniosłem wrażenie, że przedstawicielom miejscowych władz bardzo na prasie zależy dla poparcia ich postulatów lub zareklamowania walorów swojego powiatu, by przyciągnąć inwestorów, głów nie duże przedsiębiorstwa przemysłowe, które będą tu budować domy wypoczynkowe. Dla takich miast, jak Ustrzyki czy Lesko, domy wypoczynkowe i sanatoria będą poważnym czynnikiem miastotwórczym. Np. planowany w Ustrzykach Dolnych ośrodek wypoczynkowy Stocznia Gdańskiej (300 miejsc, koszt budowy — 20 mln zł) da zatrudnienie co najmniej 100 osobom, głównie kobietom.

Gospodarze terenu, a także władze wojewódzkie muszą więc zadbać o odpowiednią reklamę, lecz wiem skądinąd, że niemiłe jest widziały dziennikarza, który usiłuje spojrzeć za kulisy miejscowych stosunków i stosunków, jakże pełnych konfliktów, o czym przekonałem się spędzając w powiecie ustrzyckim kilkanaście dni urlopu. Tym razem tego wątku nie będę rozwijał, bo chodzi mi głównie o kilka spraw, w pewnym sensie interwencyjnych, ważnych dla całego regionu.

Zagospodarowanie Bieszczadów nie jest sprawą wyłącznie lokalną; znaczne wysiłki podejmuje kilka resortów, coraz większy wkład wnoszą przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych, w

tym także z Polskiej Akademii Nauk. Nie wszystkie przedsięwzięcia były dotychczas skoordynowane, popełniono wiele błędów wynikających z niezrozumienia specyfiki tych gór czy uwzględniania wyłącznie interesu swego resortu. Zilustrujmy to na przykładzie budownictwa bieszczadzkiego; upraszczając, można powiedzieć, że budował kto chciał i gdzie chciał. Powstały wielokrotnie już krytykowane pawilonowe restauracje według jednego projektu, funkcjonalnie i wyglądem nie przystosowane do warunków górskiego klimatu i krajobrazu, ale władze lokalne stanęły wobec dylematu: albo brzydkie, parterowe restauracje, albo w ogóle brak lokali gastronomicznych, a w konsekwencji znikomy ruch turystyczny. Nie spotkały się ze zrozumieniem nieśmiało początkowo postulaty, by obiekty te dostosować do krajobrazu oraz, by zamiast pawilonów wzniesić okazalsze budynki wraz z mieszkaniami dla personelu. Na przeszkodzie stanęły obowiązujące w całym kraju przepisy, które w specyficznych warunkach bieszczadzkich nie zdają egzaminu.

Skoro już piszę o budownictwie, to nie można nie wspomnieć o wyjątkowo nieprzemysłanych lokalizacjach wielu obiektów. Niemalże zawił pionier zagospodarowania Bieszczadów — resort leśnictwa, a także władze lokalne, które wydawały zezwolenia na taką lokalizację, w wypadku zaś samowoli budowlanej nie wyciągały wobec winnych sankcji karnych ze wszystkimi konsekwencjami, łącznie z nakazem rozebrania szczególnie rażących wytworów partactwa i złego gustu. Do rozbiórki kwalifikuje się np. stajnia w Zatwarnicy, zwana szumnie parkiem konnym, położona tuż przy szosie, na obrzeżu planowanego Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Stajnia przy trakcie turystycznym, a osady leśne głęboko schowane. Zarząd Budownictwa Leśnego samowolnie postawił w Polanie kilka kempingów i buduje barak dla robotników, też przy szosie, na placu przeznaczonym na centrum usługowo-administracyjne; te pozaż się Boże „inwestycje” kosztują przeszło pół miliona złotych, a ich żywotność będzie bardzo krótka, bo tu nie ma miejsca na takie rudery.

Przykłady można mnożyć. W ostatnim numerze „Profilów” pisałem, że władze powiatowe wyciągnęły wnioski z tych smutnych doświadczeń, m. in. egzekutywa KP w Ustrzykach, omawiając plan zagospodarowania „dziewiczej” jeszcze doliny Tarnawy, zaleciła niewydawanie zezwoleń na jakiegokolwiek budownictwo dopóki nie będzie opracowany kompleksowy plan zagospodarowania. Stanowisko egzekutywy podzielił leśnicy, zgadzając się m. in. z postulatem, by w większym zakresie wykorzystywać miejscowy budulec — drewno i kamień, co zapoczątkuje tworzenie stylu bieszczadzkiego w budownictwie.

Nadleśniczy w Dwerniku, inż. Józef Kondratko, optymistycznie zapatruje się na dalsze budownictwo w swoim nadleśnictwie, wykazuje zrozumienie dla założeń architektów, nie widzi sprzeczności między interesem gospo-

Nad zalewem
w Myczkowcach.

Fot. M. KOPEC



darki leśnej i wymogami akcji osadniczej, potrzebami rolnictwa itp. Słowem, bardzo sobie chwalił planowanie przestrzenne. Nie jest to jednak powszechne zwycięstwo rozsądku; będąc ostatnio w Ustrzykiem, ze zdumieniem dowiedziałem się, że np. w dolinie Wołosatego mają powstać obskurne obiekty, dla których nie może być miejsca przy uczęszczanych szlakach turystycznych, w pobliżu Parku Narodowego. Bieszczadom jest konieczna architektura odpowiadająca miejscowym warunkom klimatycznym i krajobrazowym, może nawet w pewnym sensie miejscowym tradycjom. Zwolennikami podjęcia wysiłków celem stworzenia stylu bieszczadzkiego są ustrzyccy architekci Manuela i Łukasz Juryszyński. Warto dla tej koncepcji pozyskać dalszych zwolenników, jeśli chodzi o architektów to może poprzez ogłaszanie konkursów, ale wysiłek architektów nie na wiele się zda, jeśli inwestorzy i administracja lokalna będą się zadawała parkiem konnym w Zatwarnicy, brzydkimi lokalami gastronomicznymi, jeśli kierując się fałszywie pojętą oszczędnością, będą wznosić urągające estetyce budynki.

Zresztą chodzi tu nie tylko o estetykę; przyglądnijmy się od wewnątrz hotelom robotniczym, parterowym barakom z cegły lub pustaków. Wyjątkowy prymityw, jakże często niesamowicie brudne pomieszczenia. Nasuwa się pytanie: dlaczego robotnicy w górach są traktowani często jako niższa kategoria ludzi? W jednej nowo budowanej leśniczówce spotkałem wprost barłóg, na którym spijają robotnicy zatrudnieni w ZBL. Nie jest to przykład odosobniony. Może ktoś powiedzieć, że to już sprawa kultury osobistej pracujących tu ludzi. W pierwszym rzędzie wynika to z warunków, jakie im stworzono; takie hotele nie zachęcają do troski o schludność zajmowanych pomieszczeń.

Buduje się baraki, bo one są tańsze, a ich użyteczność, jako hoteli robotniczych, ograniczona do kilku lat. Czy nie lepiej budować trwałe, z prawdziwego zdarzenia hotele, które po zakończeniu w danym rejonie prac budowlanych lub leśnych będą schroniskami turystycznymi względnie pensjonatami. Realizacja takiego postulatów wymaga porozumienia między resortem leśnictwa i turystyki, co w efekcie przyniosłoby gospodarce narodowej korzyści, bo wprawdzie barak jest tańszy niż hotel, ale barak trzeba po paru latach zburzyć.

Dotyczy to nie tylko hoteli, ale także dróg. Mówił mi sekretarz Tarnawski, że w dolinie Tarnawy, leśnictwo buduje drogę, uwzględniając tylko własne potrzeby, a tedy przebiegać będzie międzynarodowa magistrała, słynna droga karpacka.

I znów postulat: czy nie należałoby już teraz uwzględnić przyszłych potrzeb komunikacyjnych? Na szko-

dliwość dbania o doraźne oszczędności zwracają uwagę sami leśnicy; mówiono mi np., że budowana obecnie tzw. stokówka w leśnictwie Suche Rzeki powinna być utwardzona kamieniem, bo w przeciwnym wypadku ulegnie szybkiemu zniszczeniu. Stokówka, niczym mini-obwodnica ołacza ponad 1000 ha lasu, ułatwia eksploatację drewna, skracając średnią odległość z 4,17 km do 0,7 km. Koszt budowy wynosi prawie 2,6 mln złotych, a roczna oszczędność na transporcie — ponad 560 tys. złotych. Ewentualne utwardzenie tej drogi przedłużyłoby jej żywotność oraz lepiej służyłaby celom ubocznym, a mianowicie turystom i myśliwym.

Racjonalnie prowadzona gospodarka łowiecka może tu przynieść znacznie większe korzyści niż obecnie. Inż. Kon dratko mówił mi o zagospodarowywaniu łowisk, co wprawdzie sporo kosztuje, ale wydawane na ten cel pieniądze wielokrotnie się zwracają. M. in. zakłada się w lasach 0,5 — 1-hektarowe poletki, na których rośnie topinambur, zimowa odmiana ziemniaka dla dzików, dla jeleni zaś uprawia się rzepak i bobik. Jelenie są szczególnie cenną zwierzyną, której odstrzał może być znacznie zwiększony. Przyjeżdżają przez ważne myśliwi z NRF i Austrii, przebywają w górach 7—10 dni, towarzyszy im gajowy do spraw łowiectwa, mieszkają w kolibach myśliwskich płacąc za utrzymanie 100 złotych dziennie. Jeśli wieniec zastrzelonego byka waży powyżej 10 kg, myśliwy płaci 3,5 tys. dolarów. Wieniec jest jedynym trofeum, które zagraniczny myśliwy wywozi z kraju.

Zwierzyna w tej części Bieszczadów ma wymarzone warunki rozwoju, m. in. dlatego, że nie spotyka się tu kłusowników, którzy w gęsto zaludnionych rejonach wyrządzają znaczne szkody... O faunie bieszczadzkiej można pisać bez końca, bo temat to rozległy i atrakcyjny, ale miejscowa ludność ma na te sprawy inne zapatrywania; gdy byłem w Polanie, rolnicy skarżyli się na poważne szkody. Dzik potrafią zniszczyć uprawy zie-

mniaków, jelenie zaś trafiają całe łany zboża. Mieszkańcy Polany mają chyba szczególne powody do niezadowolenia, gdyż pobliskie łowiska z uwagi na specjalne przeznaczenie są rzadko przez myśliwych odwiedzane, więc dzików namnożyło się sporo; strzelac tu zwyktemu myśliwemu nie wolno, grodzenie lasów płotami zbyt drogo kosztuje, podobno drożej niż odszkodowanie, jakie rolnicy otrzymują. I tak np. dzięki w 60 proc. zniszczyły 60 arów ziemniaków za co rolnik otrzymał 980 złotych, znacznie mniej od faktycznie poniesionych strat. Ludność uskarża się na tryb płacenia odszkodowań, które otrzymuje zbyt późno. Są poirytowani metodami szacowania szkód; oblicza się średnią wydajność we wsi, która w wyniku uprzednich zniszczeń w uprawach jest już niższa, co odbija się na wysokości odszkodowań. — Zresztą — mówił jeden z rolników — mnie nie o pieniądze chodzi, ale o ziarno i ziemniaki, które jest mi potrzebne dla rodziny i inwentarza żywego; po co mam siał i sadzić, skoro to będzie zniszczone. — Nie będziemy ziemi uprawiać — dodają inni. Wprawdzie nie spotkałem osadnika w Bieszczadach, który byłby zadowolony, ale w tym wypadku mają chyba sporo racji, co kompetentne czynniki powinny uznać.

Dlaczego osadnicy są niezadowoleni? To zbyt rozległy temat, podejmię go w następnym artykule, a teraz spróbujmy podsumować poczynione tu uwagi. Bieszczady coraz mocniej są włączane w krwioobieg gospodarki narodowej, nie tracąc przy tym swojej specyfiki, która decyduje o uroku tych gór i ich ekonomicznych walorach. Te specyfiki trzeba poznać, powiedzialbym nawet zgłębić, by skuteczniej owocowały olbrzymie sumy włożone na zagospodarowanie południowo-wschodniej Polski. Specyfikę Bieszczadów trzeba poznać i dlatego, by skoordynować wysiłek poszczególnych resortów, a także zweryfikować niejednen przepis, który, będąc słuszny w innym regionie, tu staje się czasem hamulcem rozwoju.

Wspomnienie o Konstantym Paustowskim

(Ciąg dalszy ze str. 1)

kanie miało się już ku końcowi, podszedłem do pisarza z egzemplarzem „Złotej róży” w rękę. Zaczęliśmy rozmowę o „Dalekich latach” i o jednym z bohaterów tej powieści, niefortunnym artylerzyście wójciu Józiu. „Ach diada Józia wam panrawiśia...” pisarz zamyślił się chwilę i zaczął opowiadać z ożywieniem o Wójku Józiu. Wręczając książkę rzekł do mnie: „Kak budicie w Maskwie, pazwanicie ka mnie i nie zabywajcie” —

tylko przed wyjazdem prosię mnie listownie przedzić, bo widzi Pan z moim zdrowiem nie jest najlepiej i pół roku muszę spędzić na Krymie. „Doswidania, wsiewo dobra wo...”

Widzę Go jak stoi oparty jedną ręką o mur w bramie starej krakowskiej kamienicy i z chłopcą niemal uważa śledzi lot mariackich gołębi.

JAN ADAMSKI
aktor Państwowego Teatru
im. W. Siemaszkowej
w Rzeszowie.

Rzeźbiarskim dłutem i kamerą filmową

W 1943 roku we wsi Lubatowa, pow. Krosno, miała miejsce pacyfikacja ludności, dokonana przez hitlerowskiego okupanta. Mieszkańcy wsi aktywnie współpracowali z ruchem partyzanckim. Ale znalazł się zdrajca, który doniósł do Gestapo. Reakcja Niemców była natychmiastowa. Zginęło wówczas ok. 60 osób, tylko nieliczni zdolali uciec śmierci.

Między nimi znajdował się chłopiec nazwiskiem Stanisław Jakubczyk. Ocalał, ukrywając się w czasie pacyfikacji na dzwonnicy kościelnej wraz z kilkoma kolegami. Przyglądał się z góry, z uczuciem bezsilnej boleści, jak mordowano jego sąsiadów i znajomych.

W 1948 roku, w piątą rocznicę tragicznej pacyfikacji, społeczeństwo Lubatowej postanowiło uczcić pamięć ofiar hitlerowskiego terroru. Powstał Komitet Budowy Pomnika, a władze powiatu udzieliły pomocy. Do wykonania projektu poproszono Stanisława Jakubczyka, który niedawno skończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Na propozycję przystał z radością. Bliższa mu była pamięć pomordowanych towarzyszy. Projekt pomnika wykonał w czynie społecznym, tak samo bezinteresownie wykonał poszczególne rzeźby i czuwał nad realizacją całości. Odsłonięcie pomnika było wydarzeniem wielkiej miary nie tylko dla Lubatowej, ale i dla całej ziemi rzeszowskiej. Przeglądając gazety z tamtych czasów napotykamy obszerne relacje z przebiegu uroczystości, oraz liczne fotografie pomnika, który odznacza się wysokimi walorami artystycznymi.

Stanisław Jakubczyk jest synem rolnika z Lubatowej. Ojciec, oprócz uprawy roli, rzeźbił w wolnych chwilach świątki, był twórcą ludowym. Niestety, nikt z otoczenia nie docenił jego rzeźb, które uległy rozproszeniu i zniszczeniu. Syn wspomina o tym z głębokim żalem. Zabrakło wtedy mecenasa, który by zainteresował się twórczością prostego chłopca.

Po ukończeniu studiów, Jakubczyk przez pewien czas pracował w Powiatowym Domu Kultury w Krośnie, jako scenograf. Następnie wyjechał do Krakowa.

Ale nie urwały się jego kontakty z Rzeszowszczyzną. Co rok wraca na nią, objuczony sprzętem turystycznym i... kamerą filmową.

— Turystyka stanowi moje wielkie hobby — mówi Jakubczyk. — Zwiedziłem już duże połacie Kaukazu i Bałkanów, ale uważam, że najpiękniejszy region górski stanowią jednak Bieszczady. Ilekroć zapuszczałem się w tamte strony, rozciągał się przede mną tak niezwykle widok, że mimo woli chciałoby się go jakoś utrwalić. Myślałem najpierw o malowaniu, ale zabrakło kolorów na palecie do oddania tak niezwyklego piękna. Tamten krajobraz można tylko utrwać „na żywo”, przy pomocy kamery”. — Artysta zdążył już nakręcić cztery kolorowe filmy o tematyce bieszczadzkiej: w 1963 r. „Na Białym Haliczu” nagrodzony na konkursach filmów krótkometrażowych w Gdańsku i Warszawie, w 1964 r. „Wietlińskim szla-

kiem”, w 1965 r. „Mogło się zdarzyć”, nagrodzony na konkursie w Opolu, oraz w 1967 r. „Snieżny plan”.

Głównym tematem tych filmów jest górski plener. Ludzie stanowią w nich jedynie pretekst do pełniejszego wyeksponowania przyrody. Ale Jakubczyk nie tylko opiewa piękno Bieszczadów, jest również ich orędownikiem i obrońcą przed wandalami podszuwającymi się pod miano „turystów”. Nie brak w jego filmach scen, pokazujących zwie-

kuje w prymitywnych warunkach i na własny rachunek. Nie stać go już na przykład na wyprodukowanie kopii, co dzieje się z oczywistą szkoda dla filmów, które w miarę dalszych projekcji zużywają się i coraz bardziej niszczą. Może filmami tymi zainteresuje się jakaś wytwórnia filmowa? Szkoda, by uległo całkowitemu zniszczeniu tyle pięknych epizodów nakręconych w bieszczadzskich lasach.

Plany na przyszłość? Stanisław Jakubczyk ma zamiar nakręcić



Pomnik Ofiar Pacyfikacji w Lubatowej.

rzęta złapane w sidła zastawione przez kłusowników, ostępy leśne zaśmiecone przez wycieczkowiczów, niewygaszone ogniska, polamane drzewka...

Wprawdzie autor jest „tylko” filmowcem-amatorem, lecz jego filmy cechuje znakomite opanowanie warsztatu. Niektóre z nich mogą śmiało konkurować z podobnymi dziełami naszych wytwórci filmowych, chociaż pra-

film o bieszczadzkiej faunie. Przygotował już szereg zdjęć i epizodów, teraz wybiera się na uzupełnienie materiałów. Ponadto kończy pracę nad filmami: „Majowe Berdo” (przedstawiającym uroki bieszczadzkiej wiosny) oraz relację z wyprawy do Krzemienia — wioski położonej w powiecie krośnieńskim.

RYSZARD DZIESZYŃSKI

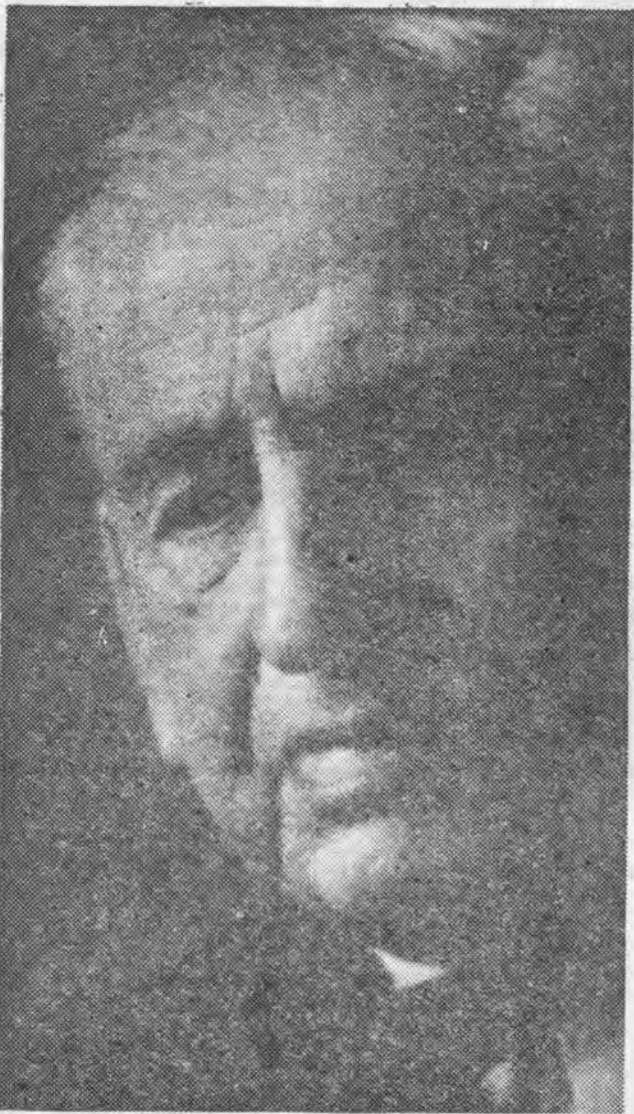
Przed rokiem kulturalnym 1968/69

Miesiące przygotowań

Sezon urlopowy w pełni. Placówki kulturalno-oświatowe licząc się jak co roku z kanikula, a zatem i mniejszą frekwencją, ogłosiły niemalże przerwę w działalności. Wykorzystują ten czas na organizacyjno-materialne przygotowania, ocenę pracy w ubiegłym roku, a przede wszystkim opracowanie planów na rok kulturalny 1968/69. Wzorem lat ubiegłych trwa współzawodnictwo o najlepsze przygotowanie placówek i gromad; nagrodą będzie zorganizowanie uroczystej inauguracji powiatowej, a dla najlepszego powiatu — wojewódzkiej. Termin już ustalony — od 15 września do końca miesiąca.

Poświęcamy temu zagadnieniu nieco miejsca, gdyż nadchodzący sezon wymaga starannych przygotowań ze względu na przypadające do realizacji zadania. A będą one wagi szczególnej. Inauguracja wypadła bowiem na okres poprzedzający V Zjazd partii. Dalsze czynniki wzbogacające treść pracy kulturalno-oświatowej to realizacja uchwał Zjazdu, dotyczących upowszechnienia oświaty i kultury, końcowe obchody 25-lecia ludowego Wojska Polskiego, 50-lecia odzyskania niepodległości, 50-lecia

(Ciąg dalszy na str. 8)



MARIAN STROŃSKI

Siedzimy w niewielkiej, zastawionej obrazami pracowni na piętrze kolorowego domku, uczepionego zbocza Góry Zamkowej. Jest tu cicho, odgłosy miasta zostały na dole. Z okien rozciąga się wspaniały widok na dachy i wieże opadającego w dolinę Sanu miasta, na wznoszące się po drugiej stronie rzeki łagodne wzgórza...

Gospodarz, wysoki, siwy mężczyzna jest rozmówcą pełnym uroku. Porusza się z wdziękiem wśród stylowych mebli, dywanów, obrazów. Jego żywotność, werwa i temperament nie pozwalają wprost uwierzyć, że dopiero co obchodził dwie rocznice: pięćdziesięciolecie działalności artystycznej i siedemdziesięciolecie urodzin.

Marian Stroński jest dobrze znany bywałcom rzeszowskich sal wystawowych. Znany, to trzeba z naciskiem podkreślić, z jak najlepszej strony jako artysta o wysokiej kulturze, wypowiadający się w sposób własny, oryginalny. Jego płótna stały się — zwłaszcza w ostatnich latach — ozdobą zbiorowych ekspozycji rzeszowskiej plastyki. Obsyła wystawy jak gdyby od niechcenia przeobraziły się w dwa obrazy, ale też są to dzieła wysokiej klasy. W związku z jubileuszem 50-lecia pracy, Marian Stroński przygotował retrospektywną wystawę swego malarstwa. Ekspozycję tę oglądaliśmy w br. w salach Domu Sztuki w Rzeszowie. Określenie jej mianem retrospektywnej nie odpowiadałoby prawdzie: wystawa prezentowała właściwie dorobek ostatnich, ogromnie pracowitych lat. Przedwojenny dorobek Strońskiego w znacznej mierze przepadł, ponad sto płócien spłonęło wraz z pracownią w czasie ostatniej wojny w Warszawie.

Zbigniew Wawszczak

PÓŁ WIEKU

Tym bardziej wystawa rzeszowska ukazała nie tylko zadziwiający rozmach działalności artystycznej, ale i jej jakościową odmienną. Oto artysta, przekroczywszy sześćdziesiątkę, zerwał niejako z dotychczasowym sposobem malowania, podjął ryzyko nowych poszukiwań, eksperymentów. Pokazał, że stać go na to, aby szukać nowych form wypowiedzi, że jest w swej twórczości autentycznie młody, pełen inwencji.

Malarstwo — to pasja życiowa Mariana Strońskiego. — Miałem do tego pociąg od najmłodszych lat — opowiada. — Pamiętam, miałem wtedy chyba jedenaście lat, gdy na wystawie u pewnego ramiarza zobaczyłem jakiś zagadkowy, utrzymany w brązach, żółci pejzaż włoski. Obraz ten zafascynował mnie, wywarł na mnie ogromny wpływ. Pamiętam o nim po dziś dzień, więcej, uważam, że moje obrazy z ostatnich lat mają coś z owego zagadkowego płótna. Moim zdaniem człowiek rodzi się z koniecznością wypowiedzenia się. Dla mnie była to konieczność wypowiedzi w malarstwie.

Studia artystyczne odbywał w ASP w Krakowie oraz we Wiedniu. Przez kilka lat przebywał w Paryżu, gdzie wystawia swe prace w galerii „Manuel” i poznaje wielu wybitnych ludzi, m. in. Olę Boznańską, Ilję Ehrenburga, obraca się w kregach artystycznej bohemy, wśród których bywają przyjaciele

takich malarzy, jak Modigliani i Soutine. Wraca do kraju z ogromnym bagażem wrażeń, wspomnień, dobrze zorientowany w tendencjach, prądach, kształtujących sztukę europejską początków naszego stulecia. Kontakt z szerokim światem okazał się jego trwałą zdobyczą. I teraz, mimo że od ponad ćwierćwiecza mieszka w Przemyślu, z dala od dużych ośrodków kulturalnych, od codziennych spotkań z twórcami, wśród których ma wielu przyjaciół, jego znajomość problemów współczesnej sztuki jest imponująca. Do otoczonego kwiatami domku u stóp Góry Zamkowej regularnie docierają czasopisma i albumy, nadsyłane przez przyjaciół z kraju i zza granicy. W ten sposób Marian Stroński utrzymuje bliski kontakt ze światem, nie tracąc spokoju i ciszy, jego zdaniem, niezbędnych atrybutów twórczej pracy. Samotnie rozwiązuje pasjonujące go zagadnienia, szuka nowych dróg... Ale nie chodzi tu o odcinanie się od ludzi, od wszystkiego co się dokłada dzieje. Taka samotność jest panu Marianowi obca, on sam przecież poświęcił sporo czasu, włożył niemało wysiłku w dzieło upowszechniania sztuki. Po ostatniej wojnie, nawiązując do własnej inicjatywy z okresu międzywojennego, Stroński zorganizował w Przemyślu Szkołę Rysunku i Malarstwa, przemianowaną przez Ministerstwo Kultury i Sztuki na Ognisko Kultury Plastycznej i przez sześć lat

Nie często zastanawiamy się nad losem dzieci specjalnej troski — dzieci niedorozwiniętych pod względem umysłowym. Chciałbym m. in. omówić postawy rodziców i środowiska w którym przypadło im przebywać — jednym słowem; zwrócić uwagę na pewne tylko elementy związane z kulturą współczesnego społeczeństwa.

W Kobylance w pow. gorlickim, jest szkoła specjalna. Bywam tam często. W rozmowie z nauczycielami tej szkoły i z wychowawcami internatu często słyszę skargi — „proszę pana, gdy jadę autobusem słyszę często za plecami: o jedzie ten nauczyciel od „wariatów”. Nie dawno w szkole, w której mieści się Poradnia Wychowawczo-Zawodowa w Gorlicach wychowawczyni jednej z klas skierowała ucznia do badań psychologicznych, ponieważ nauka idzie mu słabo. Gdy wychodził z klasy chór kolegów skandował: „Jurek idzie do psychologa pójdzie do domu wariatów.” Dwie sprawy wymagają od razu wyjaśnienia. Po pierwsze — dzieci opóźnione w rozwoju umysłowym i przebywające w szkołach specjalnych nie są wcale chore psychicznie. Po drugie określenie „wariat” nie wchodzi w zakres słownikowy człowieka dobrze wychowanego, czyli tego o którym psycholog czy pedagog stwierdza, że jest w normie. Podkreślam to tak ostro, ponieważ chyba tylko z kompleksów wynika to, że ktoś używa poniżających słów w stosunku do drugiego człowieka — psycholog powiedziałby o nim, że wyładowuje w ten sposób słowny na drodze projekcji (rzutowanie swoich cech na innych) swoje kompleksy.

Jak stwierdza Biuletyn Polskiego Towarzystwa Higieny Psychiczej w Polsce 10 proc. dzieci i młodzieży wymaga specjalnej opieki, a często i specjalistycznego leczenia ze względu na zaburzenia charakterologiczne, nerwice, trudności w nau-

ce szkolnej itd. Mam często do czynienia z rodzicami, którzy u-mawiają się do badań psychologicznych późnym wieczorem, „aby nikt nie widział”. Czynią to dlatego, aby dziecku nikt nie „dokuczał”. Tu chciało by się krzyknąć — O obyczaje! Wspomniany uczeń szedł jak na straconie. Widząc to zrezygnowałem

„ABY NIKT NIE WIDZIAŁ”

w tym dniu z badań. Wyniknęła bowiem sprawa ważniejsza, rozmowa z klasą na temat stosunków koleżeńskich. Pomógł mi w tym kierownik szkoły i wychowawca. Mam jednak wielkie obawy, czy jedna rozmowa z klasą wystarczy, aby narosłe przez lata złe nawyki (a są one odbiciem poglądów niektórych dorosłych) zlikwidować.

Nie małym również problemem jest nazewnictwo stosowane w psychologii klinicznej i psychiatrii odnośnie dzieci opóźnionych w rozwoju umysłowym. Dotychczas określano stopień rozwoju umysłowego dziecka (szczególnie inteligencji) przy pomocy testów inteligencji (m. in. testu Termana Merrilla i Wechslera dla dzieci) stosując następujące określenia w zależności od tzw. ilorazu inteligencji:

Powyżej 140 — prawie geniusz
120—140 bardzo wysoka inteligencja
110—120 wysoka inteligencja

90—110 przeciętna inteligencja
80—90 ościężałość umysłowa
70—80 granica niedorozwoju
60—70 lżejszy niedorozwój umysłowy (debilitas I), typ szkoły specjalnej
54—60 cięższy niedorozwój umysłowy (debilitas II) typ szkoły specjalnej

50—54 cięższy niedorozwój umysłowy (debilitas III), typ szkoły specjalnej o ile nie towarzyszą: cechy nerwicowe, zaniedbanie pedagogiczne lub infantyizm psychofizyczny, zaburzenia wymowy itd. Jeżeli występuje jedna z tych cech lub zespół jest to typ nieszkolny.

25—50 imbecylizm (głuptactwo)
poniżej 25 — idiotyzm.

W Anglii i Walii od wejścia w życie The Mental Health Act w 1959 roku, zniesiono określenia: idiota, imbecyllitas debilitas jako uwłaczające godności ludzkiej. Na ich miejsce wprowadzono nowe pojęcia — subnormality i sever-subnormality. Sever-subnormality w ujęciu obowiązującej nomenklatury oznacza zatrzymanie rozwoju lub niecałkowity rozwój umysłowy, włączając w to upóźnienie inteligencji, występujące w tym stopniu, że pacjent jest niezdolny do prowadzenia niezależnego życia.

Subnormality oznacza zatrzymanie lub niecałkowity rozwój umysłowy, włączając w to upóźnienie inteligencji, występujące w stopniu nie tak głębokim, tak że pacjent jest podatny na leczenie oraz inne zabiegi i opiekę. Ogólnie uważa się w Anglii, że sever-subnormality jest spowodowany czyn-

nikami patologicznymi, podczas gdy subnormality jest głównie pochodzenia środowiskowego. Stopień rozwoju inteligencji (wg skali Wechslera) poniżej 70 określa subnormality, poniżej 50 sever-subnormality.

Problem zmiany nomenklatury w stosunku do dzieci opóźnionych pod względem umysłowym był szeroko dyskutowany wśród pracowników poradni wychowawczo-zawodowych na zebraniu w dniu 17 czerwca br. w Rzeszowie. Wśród dyskutantów przeważała opinia, że określenia debil, imbecyll, idiota są uwłaczające. Oprócz tego często zdarza się, że dziecko uzyskuje niski iloraz inteligencji ze względu na brak pamięci (nie wykonuje w teście Termana Merrilla prób na pamięć) podczas, gdy inne funkcje psychiczne są w normie, np. myślenie abstrakcyjne. Powstaje pytanie: czy ma prawo psycholog użyć w stosunku do tego dziecka określenia debil. Nie ulega jednak wątpliwości, że dziec-

ko takie winno znaleźć się w szkole specjalnej. I tu jest ten ważny moment do którego zmierzam. W normalnej szkole podstawowej zdarzają się dzieci, u których stwierdza się wyraźny brak pamięci lub inne, które nie mogą skupić uwagi oraz takie u których tempo pracy jest powolne. Dzieci te powtarzają daną klasę kilka razy. W takim wypadku radzi się rodzicom umieszczenia dziecka w szkole specjalnej. Często rodzice nie wyrażają zgody ze względu na opinię środowiska. Oto wypowiedź jednej z matek: „Wolę niech chłopiec wyjdzie ze szkoły z pierwszą klasą a do szkoły specjalnej go nie dam”. Nie trzeba tu chyba podkreślać jaką krzywdę dziecku wyrządza ta matka. Trzeba również podkreślić, że dzieci opóźnione w rozwoju umysłowym nie znajdując powodzenia w nauce szkolnej szukają rekompensaty w złym zachowaniu się. Często sprawią trudności wychowawcze. Istotą szkoły specjalnej jest to, że program daje dużo możliwości indywidualizacji w pracy nauczyciela z uczniem. Dzięki stosowanym specjalnym metodom nauczania, dzieci opóźnione pod względem umysłowym (z różnych względów) kończą z powodzeniem kl. VIII, a często są również przyuczane do zawodu. Stają się sumiennymi pracownikami.

Wnioski: rodzice tych dzieci, które mają trudności w nauce lub sprawiają trudności wychowawcze winni bez żadnych oporów psychicznych zgłosić się z dzieckiem do Poradni Wychowawczo - Zawodowej, gdzie psycholog i lekarz neurolog udzieli sensownej rady jak w konkretnym wypadku z dzieckiem postępować. Niektóre dzieci wymagają leczenia, inne skierowania do szkoły specjalnej, a jeszcze inne odpowiednich zabiegów wychowawczych.

MARIAN JANIGA

Kierownik Poradni Wychowawczo - Zawodowej w Gorlicach.

Z PALETĄ...

kierował tą placówką. W uznaniu zasług, położonych w działalności społecznej, odznaczony został Złotym Krzyżem Zasługi. W roku bieżącym, Wojewódzka Rada Narodowa w Rzeszowie, wysoko ceniąc walory jego malarstwa, godnie reprezentującego rzeszowskie środowisko plastyczne w kraju, przyznała Marianowi Strońskiemu zaszczytną odznakę „Zasłużony dla województwa rzeszowskiego”.

Obrazy Strońskiego znajdują się w zbiorach muzeów: Narodowego w Warszawie i Krakowie, Ziemi Przemyskiej w Przemyślu, można je spotkać w domach wielu przemyslan, a także w biurach organizacji społeczno-politycznych, w instytucjach. Jego sztuka spełnia określoną funkcję społeczną, jest potrzebna.

Jak kształtowało się malarstwo przemyskie artysty?

— Rozpocząłem — tłumaczy pan Marian — od koloryzmu, byłem pod wpływem takich malarzy jak Pankiewicz. Niemal cały mój przedwojenny dorobek przepadł podczas wojny. A dzisiaj? Staram się korzystać z odkryć, o które w ostatnich dziesięcioleciach wzbogaciła się sztuka. Korzystać, to nie znaczy naśladować. Bo chociaż są tu cudowne światy, ale to nie moje, naśladować je, to jakbym cudzą książkę przepisywał. A przecież ja mam swój własny, odrębny świat, zamknięty w jakaś bryłę, kolor i ten świat chciałbym wypowiedzieć.

— Sztuka, podobnie, jak i inne dziedziny życia, podlega prawom przemiany, rozwoju. Moim zdaniem postęp w sztuce polega na umiejętności wydarcia przyrodzie nowych tajemnic piękna. Powstają więc coraz to nowe kierunki, szkoły, tendencje. Bardzo często ich wyznawcy skłonni są potępiać w czambuł to co było dotychczas. Nie tak dawno czytałem, jak to jeden z krytyków obwieścił zmierzch portretu. W dobie fotografii — wywodził ów krytyk uprawianie portretu nie ma sensu. A ja myślę, że to oczywista bzdura. Człowiek fascynuje twórców od tysięcy lat i z pewnością nie inaczej będzie w przyszłości. Przecież nawet najbardziej realistyczny portret nie musi kopiować naturalistycznej fotografii! Pozwolę sobie zacytować tutaj trafny, jak mi się wydaje, aforyzm: obrazy nasze, książki itp. byłyby nieciekawe i smutne, gdybyśmy widzieli świat takim, jak na niego patrzymy”.

Ekspozowana na przełomie czerwca i lipca br. w pałacyku Towarzystwa Przyjaciół Sztuki w Warszawie wystawa malarstwa Mariana Strońskiego pozwoliła niejako środowiskom artystycznym stolicy na odkrycie tego świetnego malarza, który zaszywy się w uroczym Przemyślu, na dalekiej prowincji, nigdy nie zabiegał o popularność, sławę w wielkim świecie.

Wystawiając zaś głównie w ekspozycjach rzeszowskiego okręgu ZPAP, pozostawał



Jedna z prac Mariana Strońskiego zakupiona przez Muzeum Narodowe w Warszawie.

poza kręgiem wielkich krajowych salonów, galerii i ekspozycji. Tegoroczna i zarazem pierwsza po wojnie warszawska wystawa twórczości Strońskiego przyniosła mu w pełni zasłużony sukces. Ignacy Witz tak pisał o niej:

„Jest to niewątpliwie jedna z najciekawszych wystaw ostatnich miesięcy pod względem artystycznym i psychologicznym. Marian Stroński, nestor artystów południowo-wschodnich regionów Polski, jest postacią godną najwyższego szacunku nie tylko ze względu na swój wiek. Urodzony u schyłku ubiegłego stulecia, otwieram swej jubileuszowej wystawy świeci jubileusz siedemdziesięciolecia życia i pięćdziesięciolecia twórczości. Samo w so-

bie to już jest rzeczą niezwykłą. Prawdziwa zaś niezwykłość polega na tym, że Marian Stroński jest malarzem bezustannie aktywnym, że każdy dzień wypełnia mu wyłożona praca, i że jego pełna uroku przemyska pracownia jest miejscem niezmiernego trudu.

Ten szlachetny artysta, dający naturę w dziwnych osobistych transformacjach, pełnych ład, światła, przestrzeni, czułości koloru oraz materii, ten malarz prawdziwie i najgłębiej poetycki, harmonijny... mając już lat ponad siedemdziesiąt wkrocza na drogę poszukiwania i znajdowania.

— Mam nadzieję — konkluduje Witz — że obecna

wystawa artysty sędziwego, lecz w trudzie nieustępliwego i młodego (a nie jest to tym razem zwycięzcy komplement, stosowany dla jubilatów), uczyni go popularnym i wynagrodzi trud uparcie samotny, lecz pełen entuzjazmu i wiary w cud malarstwa, który w przemyskiej pracowni dokonuje się każdego dnia”.

Ów przydługi cytat, pióra cenionego krytyka, malarza i autora wielu książek o sztuce, nie wymaga komentarzy. Ze swej strony pozwolę sobie jedynie życzyć panu Marianowi Strońskiemu, znakomitemu malarzowi, a przy tym przemitemu człowiekowi, uroczemu gawędziarzowi długich lat życia i równie świetnych sukcesów artystycznych, jak dotychczas.

KALMAN SEGAL



Siedzieli jedno obok drugiego, na starych trzeszczących krzesłach wiedeńskich i łowili przeciągły krzyk, jaki dochodził z sąsiedniego pokoju — krzyk i jęki, które raz wzmagały się, a raz słabły.

— Jezus, Maria — szepnęła kobieta w żalobie — Jakże to życie okrutne. Wszystko takie straszne.

— Musz krzyczeć? — zapytał chłodno starszy pan w okularach nie odrywając wzroku od czytanej gazety i na nikogo nie patrząc — Przecież nie wszyscy krzyczą. Prawdziwe cierpienie nie znosi krzyku. Kiedy człowiek bardzo cierpi, staje się jak pień milczący i głuchy. Jak kamień.

— Ludzie są okrutni, okrutni — wybuchnęła ta sama kobieta, a kilka milczących posępnych osób uważnie zaczęły jej się przypatrywać. Doskonale rozumieli jej niepokój i jej protest.

Znów zerwał się krzyk w sąsiednim pokoju, ale cichszy tym razem, zdławiony, jakby ktoś go stłamsił w czymś gardle. Ludzie wymieniali znaczące spojrzenia: ich czekało samo.

— Świat jest pełen szaleństwa — powiedział staruszek, odkładając gazetę; oczywiście miał na myśli to wszystko co w tej gazecie przeczytał — Dawniej tak nie było. A teraz jeszcze zaczęły się wygłupiać z tym sztucznym sercem. Do czego to wszystko prowadzi?

— Ten za drzwiami, to bandyta — odezwał się szary człowiek z policzkiem zdeformowanym i wyduętym jak pół główki kapusty — Nigdy nie podobał mi się ten gość. Żle mu z oczu patrzy.

— A mimo to pan przyszedł — stwierdził rzeczowo staruszek — Po co pan przyszedł? Nikt pana nie zmuszał. Zawsze tak jest. Ludzie sami pchają się do piekła, a potem płaczą, że im gorąco.

— Oni wszyscy są tacy — dodał ten spuchnięty — Wszyscy z tej branży. Sami bandyci. Oprawy. Bez serca.

— Pan tak mówi ze strachu — lekko uśmiechnęła się piękna kobieta w średnim wieku. Chciała go pocieszyć i uspokoić, więc wyjaśniła, że strach jest tylko produktem wyobraźni. Wystarczy wyłączyć wyobraźnię i człowiek zaraz przestaje się bać.

— Ja bym nikomu nie potrafił zadać takiego bólu — powiedział otyły mężczyzna z małym wąsikiem, o wyglądzie rzeźnika — Już bym przedziej potrafił zabić niż tak torturować.

— Ależ on jest bardzo miły — zaprotestowała piękna kobieta — To przecież czujący człowiek, który wszystko robi z uśmiechem na twarzy. Po prostu nie przestaje się śmiać.

— Dłużej tego nie wytrzyma — westchnął masarz — Co ma być, niech będzie. Już mi życie zbrzydło.

— Tak nie wolno mówić — odezwał się człowiek dotąd milczący, w zatłuszczonym kombinezonie i z pokiereszowaną twarzą — Ja mógłbym coś na ten temat powiedzieć. Życie każdemu jest miłe. Wiem, choć nie jestem żadnym filozofem ani profesorem; jestem zwykłym taksów-

karzem. Taksówkarzem, który ma cholernego pecha. Kiedy jadę przez miasto, wszyscy samobójcy pchają się pod mój wóz, tak jakby już nie było innych samochodów, tak jakby nie było pociągów, mostów, autobusów i tak jakby moja taksówka tylko po to kursowała, żeby ułatwić im

— Następny, proszę — powiedział zachęcająco i może nawet nie zauważył spojrzenia pełnego nienawiści i może nawet nie domyślił się ukrytej nadziei, z jaką cierpiący masarz zasiadł na fotelu dentystycznym.

Ludzie w poczekalni siedzieli skupieni i cisi. Czekali



Rys. J. SIENKIEWICZ

te desperackie pomysły. Idą prosto na mnie jak lunatycy. Jak zaczarowani. Tak im się moja drynda podoba. Siedemnaście razy miałem już krakę. Szesnaście osób zginęło pod moim samochodem, a niektórzy w samochodzie. Nawet nie zdążyli mi zapłacić za kurs i za ambaras. Widziałem jak umierali, jak się męczyli i jak w ostatniej chwili chcieli żyć.

Całe towarzystwo patrzyło teraz na tragicznego szofera. Staruszek chusteczką przetarł okulary, ostrożnie podniósł się z miejsca, stał przez chwilę niezdecydowany, zerkając w stronę drzwi, zza których nadal rozlegały się jęki. I zerkał także w stronę tych drugich drzwi, które prowadziły do klatki schodowej. Wreszcie zdecydował się, porwał laseczkę opartą o krzesło i powiedział, że przyjdzie innym razem, może wtedy będzie mniej hałasu. I poszedł.

— Nie wytrzymał nerwowo — szepnęła współczująca kobieta w żalobie — Zaimał się.

W tej samej chwili otworzyły się te drugie drzwi i ukazała się w nich kobieta z zakrwawioną chusteczką przy ustach. Za kobietą stał uśmiechnięty sympatyczny mężczyzna w białym kitlu.

na ryk masarza, i byli rozczarowani ciszą. Tylko od czasu do czasu słychać było delikatny dźwięk instrumentów odkładanych na szklany blacik obok dentystycznego fotela. Masarz był człowiekiem opanowanym i silnym. Umiął cierpieć.

List z Nowej Huty

LUNAPARK

Kontempluję rusztowania za oknem, brudne szyby, resztki zaprawy murarskiej na parapetach i podłodze, piasek w herbacie, piasek na biurku, piasek w maszynie do pisania, piasek za koinierzem. Zaczynam już zgrzytać cały i powoli przestaję rozumieć ludzi, po kiego diabła pchają się na plażę, skoro jest na niej piasek.

Osiedle, w którym mieszkam, poddano wreszcie, po kilkunastu latach od zbudowania, kosmetyce zwanej tynkowaniem i przez nie-szczelne okna resztki zaprawy wdzierają się do mieszkania. Z nie-wiadomych przyczyn w piwnicy rozmnożyły się pchły, całe roje pcheł. Nie styszałem dotąd o pchle tynkowej, ale skłonny jestem uwierzyć w istnienie takiej odmiany, gdyż przed rozpoczęciem robót ich nie było. Były za to ogródki pod oknami, a teraz ich nie ma. Był taki taki porządek na podwórzu...

Mam wspaniałą okazję do refleksji na temat organizacji placu budowy, dyscypliny pracy i techniki budowlanej, którą posługuje się przedsiębiorstwo robiące elewacje. Wiem już teraz, że prócz szewskiego jest także poniedziałek budowlany, zdążyłem zauważyć, że fasady czteropiętrowych bloków maluje się za pomocą urządzenia zwanego dotąd brzoową miotłą. Szeręgi malarzy, tyleż wiader i mioteł... robota idzie aż miło. Tu mieszkałka hutnicy w osiedlu, ci od konwertorowej stalowni, od nowego alabingu — jesteśmy czwartym krajem w świecie, który posiada ten typ walcowni — nie lada frajdą jest dla nich obserwowanie robót tynkarskich, przypominają sobie rzewne wspomnienia z dzieciństwa, kiedy tata stawał chałupę. Patrzą na tynkarzy, malarzy i rurkarzy schodzących z rusztowań o każdej porze, przedłużających czas śniadania do godziny i dłużej — żyć nie umierać na budowie. Tam w w hucie liczy się każda minuta, ważne są sekundy, kiedy maszyna jest w ruchu. Chwila nieuwagi może kosztować setki tysięcy złotych, brak dyscypliny, to utrata premii, dodatku z tytułu Karty Hutnika — tutaj zwolnione obroty, czy się siedzi, czy się leży...

Pełną satysfakcję ma tylko dziadek zbierający butelki. Każda dłuższa przerwa w pracy to dla niego czysty zysk. Te elewacje, to złoty czas dla dziadka i dziadek już przeprowadza zwiad, dokąd przeniesie się przedsiębiorstwo i kiedy. Dziadek od bulelek jest jedynym człowiekiem, który wita z radością rusztowania, opóźniające się tempo robót i brzoową miotłę. Technika działałaby przeciwko niemu. Przy takim wielkim piecu nie zarobiliby nawet na suchą bułkę. Na budowie za to można pożyć.

Elewacyjną frustrację należałoby leczyć rozrywką kulturalną. Na przeszkodzie staje ogórki, zamknięte teatry, niedostatek imprez, pustki w salach wystawowych. Pozostaje oglądanie samochodów najrozmaitszych marek i typów, które jak co roku zjechały do miasta ze wszystkich krajów. Nieodmiennie zainteresowanie wzbudza Fiat-125 P, a miejsce postoju każdego z tych aut zasiłguje na nazwę miejsca westchnień. Nie poleca się tego,

szczególnie tym, którzy są wciąż przed urlopem. Raczej odwiedzać wesołe miasteczka niż parkingi — dla higieny wyobraźni.

W pobliżu nowohuckiego kina „Światowid” uplasował się właśnie czechosłowacki lunapark z karuzelami, strzelnicami, globusem śmierci, rakieta i wspaniałym urządzeniem do darcia portek. To ostatnie nazywa się „ślimak” i składa się z wieży, na którą można wyjechać budowlanym transporterem, a zjechać z przeproszeniem na własnym tyłku, pod który podkłada się filcową szmatę. Gigantyczna zjeżdżalnia wysokości trzydzięciu kamienicy cieszy się ogromnym powodzeniem, a szczególną uciechę ma pięć brzydka, kiedy jakaś piękność da się namówić na „ślimaka” — wiadomowskie jest bezpiętel!

Płaci się za to za rzucanie kółkami na fanty, za strzelanie, za karuzelę, za przejażdżkę na „Union-Ekspres” krążącym w swojej podróży do nikąd.

Wabią młodego widza „colty” do wygrania i straszaki, gitary elektryczne i kolekcje zdjęć aktorów filmowych. Każda strzelnica wygląda niczym sklep komisowy, działa niczym magnes.

Trzy strzały — dziesięć złotych. Siedem strzałów — dwadzieścia złotych. Jakiś żołnierz z odznaką strzelecką składa się do strzału z wiaterki, mierzy w nitkę, na której wisi elektryczna maszyna do golenia — suchy szcęk i argnie nie nitki. Regulamin mówi, że sznurtek trzeba przeciąć, nie wystarczy trafić! Drugi strzał, czwarty... siódmy — kandydat na elektryczne golenie odejście kłinc pod nosem, przybłąkując o „kabeku”, za pomocą którego doprowadziliby do bankructwa ten cały interes.

Za jedne dziesięć złotych komplet zdjęć skopu odzianych dwo. Artystyczna fotografia, listek zamiat biustonosza, zachęcająca poza, na temat: co mi zrobisz, jak mnie złapiesz. Kto jeszcze i komu jeszcze. Blondynki i brunetki, takie i siakie — wszystko dla PT Publi-ozności.

Chcesz gumę do żucia — jest guma! Dla kandydatów na młodych przestępców sprężynowce, dla „tronkowych” alkohole, dla palaczy zapalniczek w dowolnych kształtach... Wszystko dla ciała, wszystko dla ducha. Sięgnij bracie do portfela, spróbuj sił, ustrzel bodaj fotkę z bitlesami!

Jakiś 10-letni chyba pęta zastępuje mi drogę: „proszę pana, proszę mi pożyczyć złotego, bo mi brakuje na „ślimaka”! Patrzę na młodego, ubranego starannie, czysto — tacy nie przychodzą do lunaparku bez grosza. Pytam spokojnie: „nie wstydzi się zebrać”? Znikł jak zmyty w tłumie, będzie szukał dalej natwonego, albo spróbuje sięgnąć do cudzej kieszeni. Sady dla nieletnich mają na ogół nową klientelę po każdym pobycie lunaparku w mieście. Te pokusy są nie do odparcia dla niektórych.

W jednym z namiotów „globus śmierci” — spleciona ze stalowych prętów kula o kilkumetrowej średnicy, wewnątrz której jeździ na motocyklu lub mikroautku wyczołnawiec. Kiedy zamkna się za nim osiatkowane drzwi, całe urządzenie podnosi dźwięk do góry i zaczyna się spektakl. Pojazd krąży na zasadzie siły odśrodkowej i wszystko zależy od sprawności motoru — gdyby silnik zgasł, nastąpi katastrofa. Efektowne i niezbyt bezpieczne! Parę minut silnych wrażeń kosztuje 10 złotych, dzieci pięć połowę.

Wielkie materii pomieszczenie w tym czechosłowackim lunaparku: ryzykowanie życiem i niewinny ślimak, rozrywka pogodna, wesoła, nieszkodliwa, piszczące dziewczyny na diabelskim mlynie, a jednocześnie jako fant złowrogi „sprężynowiec”. Róża i pistolet, malinowa wata — przysmak dla dzieci tudzież delikatesy, bardziej dorosłe... Tak kręci się wszystko dokoła, dźwięni, trąbi, błyska różnokolorowymi światłami, wabi i odpycha, budzi nadzieje i nabiera naiwnych, popycha do wykazania się siłą, sprawnością, hartem ducha, bystrym okiem i skłania do brzydkich postępów. Wszelkiej materii pomieszczenie — lunapark, czyli księżycowy ogród!

Wystawa prac gruzińskiego Nikifora

Przez całe życie był włóczęgą - żebrakiem, szlifował bruki Tbilisi. Jego jedyną wielką pasją było malarstwo. Malował obrazy na czym popadło — na kartonie, na blasze. Często były to szyldy — pracował nad nimi równie starannie, jak nad innymi swymi malowidłami. Jego bohaterowie — to myśliwi, biesiadnicy, woźnice z wołami, zwierzęta i ludzie. Pirosmanszwilli (tak go nazywano) kochał ludzi, zwłaszcza biednych i prostych, takich jak on sam.

Dla Niko Pirosmanszwilliego nie było granic między życiem realnym a fantazją. Ukazywał bajkowych bohaterów tak samo naturalnie i prosto, jak swych przyjaciół i znajomych. I jedni i dru-

dzy byli mieszkańcami jego własnego, szczególnego świata, w którym białe niedźwiedzie kroczy wśród jabłoni i pół kukurydzianych, a przedmioty codziennego użytku uzyskują nieosiągalne nigdy piękno.

Prawdziwym wydarzeniem artystycznym stała się otwarta ostatnio w Moskwie wystawa prac „naiwnego malarza” gruzińskiego Niko Pirosmanszwilliego. W Muzeum Sztuki Narodów Wschodu eksponowano 100 jego prac przywiezionych z Tbilisi. Największą z dotychczasowych wystaw tego twórcy — wzbudziła duże zainteresowanie mieszkańców stolicy ZSRR.

(KT — PAP)

BRZY WALAWSKI



Recenzja filmowa

„ZA WASZĄ I NASZĄ WOLNOŚĆ”

Polsko-radziecki film „Za Waszą i naszą wolność”, który wchodzi obecnie na ekrany, jest dokumentem o szczególnym znaczeniu. Nie licząc bowiem kilku filmów fabularnych, w których była mowa o polsko-radzieckim braterstwie broni, jest to pierwsza w kinematografii zarówno polskiej, jak i radzieckiej, udokumentowana próba spojrzenia na tradycje więzów krwi, wspólnie przelanej przez polskich i radzieckich żołnierzy na szlaku znad Wołgi i Oki aż do Warszawy i Berlina.

Z archiwalnych materiałów wojennych, ze starych kronik i z różnego rodzaju nieznanych dotychczas dokumentów walki film ten zmontowali dwaj realizatorzy — polski i radziecki: Ludwik Perski z warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Leonid Machnac z moskiewskiego Centralnego Studia Dokumentalnego.

Tego rodzaju film można było zrobić w formie kroniki, obejmującej wszystkie ważniejsze etapy wspólnie prowadzonej wojny, można było w nim wojnę ukazać od strony decyzji szefów państw, do-

wódców armii, można było drobniogowo udokumentować wspólną drogę bojową armii polskiej i radzieckiej; sposobów było wiele i każdy zapewne doprowadziłby do celu, dałby jakiś obraz tradycji polsko-radzieckiego braterstwa broni. Ale Perski i Machnac zrezygnowali z faktografii i nie zrobili filmu o bitwach, lecz film o ludziach. Ukazali ich trud, poświęcenie i chwilę radości z odniesionych zwycięstw. Konstrukcję filmu oparli na emocjonalnych epizodach, rezygnując nawet z chronologii. Ale nadal za to swemu dokumentowi poetycki urok, ciepło i mądrą prostotę.

Ich film jest czymś w rodzaju refleksji na temat przeszłości i zarazem próbą, udaną próbą określenia współczesnego sensu przyjaźni, zawartej przed laty we wspólnej walce. Motywem wiodącym jest tu droga polskiego żołnierza spod Lenino do Berlina, ale twórcy filmu wplatają w zasadniczy temat wiele zamkniętych w sobie epizodów, pozornie marginesowych, wiele tematów, które nie wiążą się bezpośrednio z wątkiem

zasadniczym, lecz mówią o sprawach, którymi żyli wówczas i polscy, i radzieccy żołnierze.

Film „Za Waszą i naszą wolność” jest zrobiony z sercem i odznacza się przy tym dojrzałym spojrzeniem na historię. Obok waleńców czysto artystycznych — to właśnie stanowi o sile, o wymowie tego dokumentu, który popularyzując fragmenty niedawnej historii, łączące narody Związku Radzieckiego i Polski, daleko wykracza poza ramy filmowej monografii.

Jest tu wiele unikalnych zdjęć, poczynając od pierwszego wystąpienia Władysława Gomułki w wyzwolonym Lublinie, poprzez partyzanckie fotografie Mieczysława Mocczara i scenkę przy ognisku, przy którym gawędzą generał Aleksiej Kosygin i generał Karol Świerczewski. Są także zdjęcia z wędrówki armii generała Andersa do Iraku, sceny z warszawskiego powstania, migawki z wyzwolonego Krakowa i inne, nieznane dotychczas epizody z historii II wojny światowej.

CZESŁAW MICHAŁSKI

Na wprost

Bądź tu mądry przy takim urodzaju...

Na ogół wiemy, że młodzi ludzie lubią odznaki i chętnie kupują znaczki metalowe z herbami, które są symbolem miast i ich oznaką reprezentacyjną. Wstyd przyznać; lakoniczna notatka służbowa Przedsiębiorstwa Upowszechnienia Prasy i Książki „Ruch” stała się natchnieniem do wzbogacenia mej ubożuchnej wiedzy o heraldyce miejskiej.

Nie w kij dmuchał, mamy aż 739 miast i niewiele mniej herbów miejskich. I proszę obywateli, herb to nie tylko znak reprezentacyjny, ale i własnościowy, przeznaczony dla celów praktycznych. Ma nie tylko autorytet dokumentu, ale jest żywą tradycją przeszłości, raz obrany i przyjęty przez miasto — jest niezniszczalny.

Te skromne informacje oraz o wiele więcej wątpliwości zawdzięczam przewertowaniu aż trzech wydawnictw: „Miasta polskie w Tysiącleciu” — Wydawnictwo Ossolineum, „Herby miast polskich”, Wydawnictwo „Arkady”, „Herby miast ziemi rzeszowskiej”, Wydawnictwo Wydziału Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie.

Poszanowanie przeszłości to rzecz piękna i chciałbym również wierzyć, że herby miast mają „autorytet niezniszczalnych dokumentów”. Jestem jednak niewierny Tomasz. W notatce służbowej „Ruch” w sprawie dostawy przez „Reklamodruk” — Poznań niewłaściwego znaczka, wzoru herbu Sanoka — czytamy:

„Obecnie okazuje się, że w przesyłce znajdowały się znaczki nie z herbem miasta Sanoka, tylko z fragmentami herbu...”

I. Wzór został skopiowany z Wydawnictwa Ossolineum pt. „Miasta polskie w Tysiącleciu”.

Zadalem sobie trud, aby w tych trzech wydawnictwach porównać herby wszystkich miast województwa rzeszowskiego i okazuje się, że w większości przypadków są to „dokumenty”, delikatnie mówiąc, dość wątpliwe. Oto kilka przykładów. Na początek wspomniany Sanok.

„Miasta polskie w Tysiącleciu” — herb jednopolowy, postać św. Michała Archanioła na smoku. „Herby miast polskich” — herb trójpolowy

z orłem polskim, postać św. Michała na smoku i wąż Sforzów. Podobny herb reprodukuje wydawnictwo „Herby miast województwa rzeszowskiego”. Inny przykład — Lesko. „Miasta polskie w Tysiącleciu”. Herb — tarcza z godłem Kmitów „Sreniawa”, dwa drzewa szpilkowe na białym tle. „Herby miast polskich”. Herb podobny, inny rysunek drzew. „Herby miast województwa rzeszowskiego” — tylko samo godło Kmitów z krzyżem maltańskim. Całość na czerwonym tle. Leżajsk: — „Miasta polskie w Tysiącleciu”: podwójny krzyż czerwony między rogami jelenia (z przodu) na złotym tle. „Herby miast polskich” — podwójny krzyż na czerwonym tle „Herby miast województwa rzeszowskiego” — podwójny krzyż między rogami jelenia (z profilu) — tło białe. Nisko: „Miasta polskie w Tysiącleciu” — herb dwupolowy z górnymi pasami białoczerwonymi, dolna zielona płaszczyzna z trzema głazami narzutowymi. „Herby miast polskich” — herb podobny, jaśniejszy kolor dolnej płaszczyzny. „Herby miast województwa rzeszowskiego” — herb składa się z pasów białoczerwonych, na których widzimy stylizowane drzewo świerkowe, dolne pole jest koloru złotego. Przez całą płaszczyznę herbu biegnie niebieska wstęga w kształcie litery S. Może jeszcze jeden przykład — Rzeszów: „Miasta polskie w Tysiącleciu” — krzyż kawalerski na czerwonym tle. „Herby miast polskich” i lokalne wydawnictwo — krzyż kawalerski na niebieskim tle.

Choć bawimy się doskonalnie, nie sądzę, aby zachodziła potrzeba mnożyć przykłady tego rodzaju. Nie jestem też kompetentny do ferowania wyroków, w którym wydawnictwie herby są miarodajne. Na ogół przekonywająca jest praca Mariana Gumowskiego „Herby miast polskich”, gdzie obok reprodukcji znajdujemy dane dotyczące ich powstania. Podobno już w 1939 roku w tej sprawie zbierała się komisja. Tak czy owak, chyba za długo trwa ten herbowy humorystyczny bałaganik. Jeśli jednak to nas nie przestrasza, to pomyślmy o rozterkach młodego hobbysty, który stwierdził, że jego zbiór powiększył się aż o trzy różne znaczki-herby jednego z miast naszego województwa. I cóż może powiedzieć ów młodzieniec?

Bądź tu mądry i pisz wiersze!

Eski

Korespondencja

Jeszcze o „Krajanie”

Wszystkich mieszkańców Tuszowa Narodowego i czytelników, którzy przystali na adres redakcji sprostowania w sprawie mojej korespondencji o W. Sikorskim chciałem przeprosić. Tuszów znam doskonale chociażby z badań z roku 1967. No cóż, „wyrwał się” i tłumaczenia nic tu nie pomogą. A przecież w swoich zbiorach mam fotografię tablicy na GRN, która umieszczona jest po prawej ręce wchodząc do budynku. Zdjęcie robiłem osobiście.

FRANCISZEK KOTULA

KSIAŻKI

Jurij Kazakow: TAM BIEGNIE PIES. PIW, s. 229, cena zł 15.

Autor — jeden z najświetniejszych nowelistów radzieckich, znany w Polsce z tomu opowiadań „Brzydka dziewczyna”. Prezentowany tom zawiera 18 opowiadań, wnikających w psychikę współczesnego człowieka i poszukujących prawdy o nim.

Alfred Kubin: PO TAMTEJ STRONIE. Przeł. A. M. Linke. PIW, s. 267, cena zł 16.

Powieść austriackiego malarza, opublikowana po raz pierwszy w 1908 roku. Kubin stwarza tu fantastyczne państwo snu, w którym groza przeplata się z groteską. Ta baśń poetycka jest wielką przenośnią na temat życia, spokrewnioną z powstałymi znacznie później utworami Franza Kafki.

Walentin Katajew: SWIĘTA STUNDIA. Przeł. Z. Fedek. PIW, s. 139, cena zł 10.

Pisarz radziecki starszego pokole-

nia — W. Katajew, podejmuje od roku debiutu (1910) najróżniejszą tematykę, kształtowaną i narzucaną przez bieg historii. Najnowsza jego powieść analizuje problem bardzo bliski współczesnemu światu: istnienie i zagłada. Oryginalna forma.

Włodzimierz Tiendriakow: ZNAJDA. PIW, s. 204, cena zł 12.

Znany dobrze polskiemu czytelnikowi radziecki pisarz — autor licznych książek o problematyce moralno-obyczajowej. Również o problemach współczesnego człowieka mówią dwie zawarte w tomie opowiesci: „Jętka-jednodniówka” i „Znajda”.

Stanisław Kowalewski: GRY I ZABAWY. PIW, s. 168, cena zł 15.

Pięć opowieści o starości niewesołej, ale do końca nieprzegranej. Bohaterowie podejmują walkę z przeciwnościami, starają się uczestniczyć w życiu otaczającego świata.

Tadeusz Jasiński: DROGA OKOŁNA. Wyd. Morskie, s. 250, cena zł 15.

Książka stanowi debiut powieściowego znanego publicyisty i nowelisty. Autora interesują tu podobnie jak w innych utworach stosunki polsko-niemieckie zarówno w perspektywie historycznej, jak i w czasach współczesnych.

Janusz Odrowąż-Pieniążek: UCIECZKA Z CIEPŁYCH KRAJÓW. PIW, s. 165, cena zł 12.

Siedem utworów stojących na pograniczu reportażu i opowiadania wprowadzających wiedzę o podró-

żach bohatera i jego psychice. Autor zajmuje się prozą, poezją oraz krytyką literacką.

Tadeusz Giegier: ZACZEŁO SIĘ OD LEGENDY. Wyd. Łódzkie, s. 180, cena zł 11

Reportaże i eseje łódzkiego literata, który podjął się przedstawienia ciekawszych momentów z historii ziemi łódzkiej, biorąc pod uwagę zarówno wątki legendarne, jak i nowszą historię lat okupacji i najnowszej — fakty powojennego dwudziestolecia.

Jerzy Niemojowski: EWOKACJE. Krótka antologia poezji Ameryki Iberyjskiej. PIW, s. 184, cena zł 25.

Każdego z prezentowanych tu poetów charakteryzuje przeważnie jeden wiersz i krótka notka biograficzna. Celem tego wyboru wierszy jest ukazanie odrębności poezji Ameryki Iberyjskiej.

BIBLIOGRAFIA RZESZOWSZCZYNY 1944—1963. (Artykuły z czasopism). Rzesz. Zakł. Graf., s. 304, cena zł 50.

Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie. Rejestruje z górą ponad 5 tys. artykułów związanych tematycznie z Rzeszowszczyzną, biorąc pod uwagę zarówno pisma centralne, jak i prasę regionalną. Układ działowy, indeks autorski oraz przedmiotowy, uwzględniający nazwy miejscowości. Spis wykorzystanych źródeł.

Jerzy Ciepielewski: POLITYKA ADMINISTRACYJNA RZĄDU POLSKIEGO W

LATACH 1928—1935. KiW, s. 315, cena zł 35.

Omówienie dotyczy lat wielkiego kryzysu, analizując stosunki na wsi z ujęciem walki rządu polskiego z kryzysem, analizując stosunki na wsi polskiej w latach wielkiego kryzysu oraz dążność do przebudowy ustroju rolnego i zmian w polityce finansowej.

Barbara Ratyńska: STOSUNKI POLSKO-NIEMIECKIE W OKRESIE WOJNY GOSPODARCZEJ 1919—1930. KiW, s. 355, cena zł 40.

Praca oparta na materiałach archiwalnych polskich i niemieckich ukazuje problemy ekonomiczne Polski i Niemiec oraz ich wzajemne międzynarodowe stosunki polityczne.

Roger Garaudy: PERSPEKTYWY CZŁOWIEKA. Egzystencjalizm, myśl katolicka, marksizm. KiW, s. 385, cena zł 60.

Zarys głównych prądów współczesnej filozofii francuskiej. Autor wprowadził dialog z myślicielami niemarksistowskimi, przez co książka zawiera również poglądy dyskusyjne, które do dziś stanowią przedmiot dociekań myślicieli marksistowskich.

Emanuel Iserzon: PRAWO ADMINISTRACYJNE. Podstawowe instytucje. Wyd. Prawnicze, s. 295, cena zł 32.

Zbigniew Krauze: ŁAWNICY LUDOWI. Teksty przepisów z objaśnieniami. Wyd. Prawnicze, s. 84, cena zł 4.

Miesiące przygotowań

(Ciąg dalszy ze str. 4)

powstania KPP, 25-lecia PPR i 20-lecia PZPR.

Po tych kilku wstępnych uwagach rozpatrzmy po krótko szczegółowe kierunki i zadania, jakie będą realizowane w trakcie działalności kulturalno-oświatowej. I tak np. biblioteki skoncentrują przede wszystkim uwagę na konsolidacji wysiłków wszystkich działaczy kulturalno-oświatowych środowiska i placówek w dziedzinie rozwoju oświaty i kultury, służącej patriotycznemu wychowaniu młodzieży, kształtowaniu aktywności jednostek i grup społecznych, aktywności, zaangażowanej w budownictwo socjalistyczne. Spoczywa na nich szczególny obowiązek torowania drogi dziełom zaangażowanym w budownictwo socjalizmu, a na działaczach osobista odpowiedzialność za dobór upublicznianych treści. Wzrost zadaniem domów kultury, klubów, świetlic będzie intensyfikacja oddziaływania kulturalno-wychowawczego na środowiska w kierunku angażowania najszerszych kręgów społecznych, zwłaszcza młodzieży do aktywnego życia społeczno-politycznego, a i całych grup, współdziałanie w podnoszeniu poziomu kulturalnego oraz wartościowego wykorzystywania czasu wolnego od pracy. Służyć temu powinno m. in. umocnienie organizacyjne i programowe istniejących domów kultury

i klubów oraz dalszy rozwój sieci tych placówek, a zwłaszcza na wsi i ich współzawodnictwo.

Niemalą rolą w szeroko zakrojonej akcji upowszechniania kultury przypadnie społecznemu ruchowi i stowarzyszeniom. W myśl założeń przejmą one część akcji i imprez, organizowanych dotychczas przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, a także działalność środowiskową domów kultury. Dlatego też niezbędna będzie dla nich większa niż dotychczas pomoc i opieka.

W chwili obecnej nie dysponujemy jeszcze konkretnymi planami pracy poszczególnych placówek, wymienimy natomiast niektóre ogólnokrajowe imprezy. Będą to więc akcja „Turkus” (turystyka — kultura — sport), „Dziecięcy karnawał wiosenno-letni” z okazji 25-lecia PRL, „Festiwal poetycki (XV Konkurs Recytatorski i Konkurs Teatrów Poezji), Dni Oświaty, Książki i Prasy. Kontynuowane będą także konkursy czytelnice „Złoty kłosa dla autora, srebrne dla czytelników” i „Bliżej książki współczesnej”, „Bliżej teatru”, Festiwal chórów amatorskich „O złotą lirę”, „Festiwal muzyki młodzieżowej” i „Festiwal ognisk artystycznych”, wystawa fotograficzna „25 lat PRL” i „Festiwal amatorskich klubów filmowych „Nasze 25 lat”.

stański

● Film ● Film ● Film ●

„Zmierzch Bogów”

Na konferencji prasowej, ogłaszając rozpoczęcie prac nad nowym filmem, Luchino Visconti powiedział: Chciałbym bardzo, aby utwór ten wszedł na ekrany pod niezmiennym niemieckim tytułem „Goetterdaemmerung”; wagnerowskie echa odezwią się bowiem nieraz, zarówno w psychice bohaterów, jak i w stroju filmu.

Bogami, którzy odchodzą, będą członkowie pewnej niemieckiej rodziny przemysłowców, potentatów stali. — Nie jest to bynajmniej opowieść o losach jakiegoś konkretnego magnata przemysłowego. Prawdziwe będzie jednak tło historyczne, nastrój tamtych lat, fakty społeczne. Akcja rozpocznie się w przededniu podpalenia Reichstagu. Wszystko, co następuje potem, jest logicznym następstwem narastania nazizmu w życiu spo-

łecznym, politycznym, a na wszystko — w psychice ludzkiej — stwierdza Visconti. Zasadniczym jednak wątkiem opowieści są kolejne walki o umocnienie potęgi pewnej rodziny.

Pierwsze sceny filmu nakręcone zostaną w Unterach w Austrii. Tam zrekonstruowana będzie osławiona bawarska oberża, w której rozegrał się krwawy epizod „nocy długich noży”, 29 czerwca 1934 roku. Finałową sceną ma być moment podwójnego samobójstwa Ewy Braun i Hitlera. Czołowe role powierzył Visconti w tym filmie Ingrid Thulin, Dirkowi Bogarde'owi, Charlotte Rampling, Helmutowi Griemowi, Umberto Orsinemu. Twórca chce ukończyć film do jesieni przyszłego roku, przed 30 rocznicą wybuchu II wojny światowej.

(Kt-PAP)



Kadr z filmu „Dziesięć lat”.



LACHTORA — artysta plastyk.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Kartki dla Ewy

Podróże

...kształcą, mawiali protoplaści wyruszając dyliżansem w obce kraje. Współcześni sądzą podobnie, cierpliwie wyczekując na przydział adriatyckich dewiz, tkwiąc w kolejkach po bilety i miejscówki, upędzając po sklepach w poszukiwaniu waliz, sakwojaży i podręcznych kuferków.

Ostatnio też nieco podróżowałam: nie odrzutowcem i transatlantyką, jak to wymaga wiek dwudziesty, tylko osobową „ciuchcią” i autobusem, co wystarczyło jednak dla komunikacyjnej edukacji.

Wiem, że mam prawo w wagonie osobowym PKP jechać w towarzystwie dwóch psów odzianych w kagańce, ale nie wolno mi wieść dwutygodniowej kozy lub prosięcia, bo to trzoda chlewna... Mogę nie zgodzić się na słuchanie tranzystora, muszę jednak cierpieć, kiedy współpasażer wietrzy przepocone skarpetki. Regulamin zabrania przewozu rzeczy cuchnących, łatwopalnych i budzących odrazę, milczy na temat niedomyltych pasażerów. Spróbujmy powiedzieć komuś, że brzydko pachnie — murowany proces o pomówienie!

Dowiedziałam się ile kosztuje stłuczenie lampy, szyby, lustra, zerwanie hamulca, jazda na gapę i plucie na podłogę. Rozkład jazdy, ta podręczna encyklopedia podróży, bywa pasjonującą lekturą szczególnie wtedy, kiedy wasz pociąg w głuchej Pipidówce czeka godzinę na przejazd ekspresu. W rozkładach jazdy jest wszystko na temat ruchu pasażerskiego z wyjątkiem konkretnej rady, co robić jeżeli z winy PKP są dwie godziny spóźnienia i nie zdążyć na ślub przyjacielki lub co gorsza, swój własny. Siedź człowieku na bagażach, martw się i kombinuj co robić, dumaj, czy narzeczonemu starczy wytrwałości. Pociąg cię wtedy, że to normalne, bo w upał tory się topią, tak jak w zimie zadymki są przyczyną niepunktualności. Godzina wcześniej — godzina później i nie ma z tego, co by na dobre nie wyszło!

Specie od kolejniactwa tłumaczą wszystko trudnościami obiektywnymi. Ludziom to jednak nie wystarczy, są dociekliwi i przy każdej okazji pytają dlaczego?

Chciałabym i ja wiedzieć, dlaczego dalekobieżne pociągi i przyspieszone „jelcze” PKS, chyżo mknące po szosach mają jednoosobową obsługę. Odpowiedzialność za pasażerów, za wóz, za kasę, przestrzeganie punktualności na przestrzeni kilkuset kilometrów to nadmiar szczęścia dla jednego człowieka, który w pierwszym rzędzie powinien zważać, na nie zawsze bezpieczną szosę, a potem myśleć o innych sprawach.

PKS przecież wcale nie znaczy — Pchaj Koniu Sam. Choć słyszałam grupę nastolatków wykrzykującą coś w tym stylu, bo nie zabrał ich ostatni autobus, wiozący wycieczkę z niesłychaną ilością sprzętu biwakowego. Sterty namiotów, materacy, kociołków, plecaków piętrzyły się na siedzeniach, więc dla ludzi zabrakło miejsca.

Gdzie te czasy, że walizy, toboły i plecaki pakowano do bagażnika lub na dach? Z przyczyny jednoosobowej obsługi trzyma człowiek manele na kolanach, patrząc by parasol sąsiada nie wydułbał mu oka, a 50-kilogramowy neseserek nie zleciał na głowę. Ludzie zresztą wożą rozmaitości, wychodząc z założenia, że w drodze wszystko może się przydać. Widziałam kobiecinę z kurą na sznurku, słyszałam o turyście, który z Bułgarii przywiózł sobie... osła. Jak tego dokonał, nie wiem. Zwierzak dojechał nieuszkodzony i dobrze mu się podobno wiedzie.

Rekordy objuczenia biją kobiety, taszcząc z reguły mnóstwo siatek, torebek i pakunczków, które gubią po drodze. Mężczyźni mają w pogotowiu „pół basa” i talie kart. Wszyscy zaś jesteśmy zmęczeni, podenerwowani, szturmem zdobywamy miejsca siedzące, gubimy bilety i portmonetki. Bola nas głowy, żołądki, narzekamy na ciężki „rajzefiber”.

Czy nie lepiej by tak, na oklep, przez zielone pola i łąki, choćby na... osie?

Be-ga

ZDARZENIA TYGODNIA

Niemal wszystkie uroczystości z okazji 24 rocznicy odrodzenia Polski uświetniły występy zespołów artystycznych, kapel i festynów.

Jak wiadomo, najważniejszym wydarzeniem w ramach obchodów Święta Odrodzenia było w województwie rzeszowskim przekazanie do eksploatacji zapory wodnej i hydroelektrowni w Solinie i zorganizowany z tej okazji wiec mieszkańców okolicznych miejscowości. Jednym z punktów była również część artystyczna. Złożyły się na nią koncert galowy Zespołu Pieśni i Tańca „Lasowiaczy” z Zakładowego Domu Kultury Huty „Stalowa Wola”. Wystąpił także z recytacjami znany krakowski aktor Tadeusz Malak. Całość wypełniły popisy dwóch kapel z PGR w Bachórze i Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie.

W tym miejscu przed kilkoma miesiącami informowaliśmy o ogłoszeniu przez Muzeum Okręgowe, Wydział Kultury i Handlu Prez. WRN konkursu na pamiątkarstwo regionalne woj. rzeszowskiego. Jego celem było uzyskanie wzorów, które mogłyby być wykorzystane w produkcji, a tym samym wzbogacenie niezbyt szerokiego asortymentu pamiątek z naszego regionu.

Ostatnio komisja konkursowa dokonała oceny nadesłanych wzorów wyrobów, kwalifikując do nagród 25 uczestników. Spośród nich I nagrodę uzyskał Jan Ligaj, godło „Otryt” za obraz o tematyce bieszczadzkiej, wykonane techniką intarsji. II miejsce zajęła Barbara Sierżega, godło „Szachy” za figury i pudło na szachy. Adam Mróz, godło „Jantar” zdobył III nagrodę za ozdoby metalowe, kute w miedzi, wykonane według wzorów ludowego kowalstwa rzeszowskiego.

I jeszcze jedna informacja. Otóż 24 bm. w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie otwarto wystawę nadesłanych prac, którą można będzie zwiedzać do 31 bm. W tym też dniu odbędzie się spotkanie organizatorów z uczestnikami konkursu oraz nastąpi wręczenie nagród.

W ubiegłą sobotę, tj. 20 lipca w Białymstoku otwarto wystawę okręgową malarstwa i grafiki Rzeszowskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Jest to ten sam zestaw, który był ekspozowany w Rzeszowskim Domu Sztuki z okazji tegorocznych Dni Rzeszowa.

W porozumieniu Biur Wystaw Artystycznych Rzeszowa i Białegostoku we wrześniu trzech artystów z tego ostatniego: Mikołaj Wołkowycki, Stefan Rybi i Jerzy Lengiewicz będą wystawiać swe prace w naszym Domu Sztuki.

Odnotowujemy te fakty, przypominając o zawartym niegdyś porozumieniu o współpracy województw Polski południowo-wschodniej. Z wielką przyjemnością odnotowyalibyśmy inne wydarzenia, świadczące o realizacji tejże umowy.

W salach Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemyślu, czynna jest wystawa malarstwa artysty plastyka Zenona Henryka Rachwałskiego, urządzona staraniem wspomnianej wyżej placówki i rzeszowskiego Biura Wystaw Artystycznych.

Warto odnotować również, że Zenon Rachwałski, zamieszkały obecnie w Opolu jest z pochodzenia przemyslaninem.